

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 46 (1514) 12 LISTOPADA 1989 R. CENA 50 ZŁ

ISSN 0127-8287

INDEKS 47977

W NUMERZE:

Wdowi grosz • Uroczystości religijno-patriotyczne w Studziankach Pancer-nych • Ks. Donald Malinowski w Polsce • Byłem sekretarzem Stalina • „Rodzina” – dzieciom • Porady

BÓG SĄDZI I KARZE



Van der Weyden (1400—1464)
Sąd ostateczny (fragment)

LEKCJA

z I Listu
św. Pawła Apostoła
do Koryntian (9, 24—27; 10, 1—5)

Bracia: Czyż nie wiecie, że ci, którzy biegają w zawody, choć wszyscy biegają, jeden tylko otrzymuje nagrodę? Tak biegnijcie, abyście otrzymali. A każdy, który idzie w zawody, od wszystkiego się powstrzymuje: oni, aby otrzymać wieniec znikomy, a my — trwały. Ja tedy tak biegnę nie jakoby na oślepie; tak walczę, nie jakoby wiatr uderzał, ale karzę ciało moje i do posłuchu przymuszam, abym snadź innych nauczając sam nie był odrzuconym. Bo nie chcę, bracia, abyście wiedzieć nie mieli, że ojcowie nasi wszyscy byli pod obłokiem i że wszyscy przez morze przeszli. I wszyscy w Mojżeszu, obłoku i morzu ochrzczeni byli. I wszyscy pozrywali tenże pokarm duchowy i wszyscy pili tenże napój duchowy (a pili z opoki duchowej, która im towarzyszyła, a opoką był Chrystus). Ale nie w wielu z nich upodobał sobie Bóg.

EWANGELIA

według
św. Mateusza (20, 1—16)

Onego czasu rzekł Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Podobne jest bowiem królestwo niebieskie gospodarzowi, który wyszedł bardzo rano najmować robotników do winnicy swojej. A uczyniwszy z robotnikami umowę po denarze za dzień posłał ich do winnicy swojej. I wyszedłszy około godziny trzeciej uzbrajał innych stojących na rynku bezczynnie. I rzekł im: Idźcie i wy do winnicy mojej, a co będzie sprawiedliwe, dam wam. A oni poszli. I znowu wyszedł około szóstej i dziewiątej godziny i uczynił podobnie. Wszedł jeszcze około jedenastej i znalazł innych stojących, i powiedział im: Czemu tu stoicie, próżnując dzień cały? Mówią mu: Bo nas nikt nie najął. Rzekł im: Idźcie i wy do winnicy mojej. A gdy nadszedł wieczór, rzekł pan winnicy rządcy swemu: Zwołaj robotników i daj im zapłatę, począwszy od ostatnich aż do pierwszych. Gdy tedy przyszli, którzy około jedenastej godziny przybyli, otrzymali po denarze. A gdy przyszli także pierwsi, mniemali, że więcej otrzymają, ale i oni otrzymali po denarze. A wzięwszy, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: Ci ostatni tylko jedną godzinę pracowali, a uczyniłeś ich równymi nam, którzyśmy znosili ciężar dnia i upału. A on odpowiadając jednemu z nich rzekł: Przyjacielu, nie wyrządzam ci krzywdy. Czyż się ze mną nie umówił za denara? Weźmij, co twoje, a idź; chcę wszakże i temu ostatniemu dać jako i tobie. Czyliż mi nie wolno uczynić, co chcę? I czyż złym patrzysz okiem na to, żem ja dobry? Tak ci ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi. Bo wielu jest wezwanych, ale mało wybranych.

Trzy kolejne homilie kończącego się roku kościelnego poświęcimy naukom Chrystusa, wygłoszonym przed udaniem się na pożegnalną Wieczerzę i do Getseman, gdzie został uwieczony przez przywódców duchowych Izraela. Porażki doprowadziły tych ludzi, zadufanych i wyniosłych, do wściekłości. Potajemnie wydali wyrok śmierci na Jezusa i czekali jedynie okazji, by niecne postanowienie wprowadzić w czyn. Zaniechali jednak, na jakiś czas, prób nekankania Zbawiciela. Była to jednak cisza przed burzą, która rozpocznie się w nocy z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek. Chwile spokoju wykorzystał Chrystus na czynny wypoczynek w gronie swoich uczniów. Czynny, gdyż właśnie w tym czasie podał Apostołom wiele cennych pouczeń. Jedną z tych nauk zajmiemy się dzisiaj. Jej tematem jest wartość ofiary. Jakże często inna u ludzi i zupełnie inna w oczach Boga. Spróbujmy nauczyć się właściwej oceny ofiar składanych Bogu i prezentów dawanych bliźnim. Okoliczności wygłoszenia fascynującej lekcji i jej lakoniczny skrót podaje św. Marek w ostatnich wierszach dwunastego rozdziału swojej Ewangelii: „A usiadłszy naprzeciw skarbnicy, przypatrywał się, jak lud wrzucał pieniądze i jak wielu bogaczy dużo wrzucało. Przyszła też jedna uboga wdowa i wrzuciła dwie drobne monety, to jest tyle, co jeden

nie robiły na obserwatorach najmniejszego wrażenia. Pan Jezus natychmiast zorientował się, że Apostołowie nie nauczyli się jeszcze patrzeć na dary oczami swego Mistrza. Nadal dla nich najwyższą wartość ma szlachetny kruszec i ciężar czy wielkość monety srebrnej czy złotej. Nadal byli przekonani, że wartość materialna daru decyduje o jego wielkości, a nawet o szlachetności serca ofiarodawcy. Najprawdopodobniej zapytani przez Mistrza o wynik swoich obserwacji wymieniłi zauważone obfite dary rzucane rękami bogaczy, starali się też przypomnieć sylwetki dobroczyńców. Gdy Chrystus powiedział, że najwięcej dała wdowa, uznali to za żart. Musiał im Pan Jezus jeszcze raz wyłożyć etyczną, w wymiarach nadprzyrodzonych mierzoną, wartość ofiary: „Zaprawdę powiadam wam, że ta uboga wdowa wrzuciła do skarbony więcej niż wszyscy, którzy wrzucali. Bo wszyscy wrzucali z tego, co im zbywało, a ona ze swego ubóstwa wrzuciła wszystko, co miała, całe swoje utrzymanie!”

Zbawiciel poucza Apostołów, że w oczach Stwórcy ważny jest nie tyle gatunek kruszcu i jego ilość, co stosunek daru do zamożności ofiarodawcy. Ważne jest usposobienie serca ofiarodawcy i czystość intencji. Wprawdzie ofiary ludzi bogatych bywają wielkie, ale w porównaniu z tym, co ci lu-

Wdowi grosz

grosz. I przywoławszy uczniów swoich rzekł im: Zaprawdę powiadam wam, ta uboga wdowa wrzuciła więcej do skarbony niż wszyscy, którzy wrzucali. Bo wszyscy wrzucali z tego, co im zbywało, ale ta ze swego ubóstwa wrzuciła wszystko co miała, całe swoje utrzymanie” (12,41-44).

W przedśmionku jerozolimskiej świątyni stała skarbona, do której wierni Izraelici wrzucali pieniądze na potrzeby domu bożego i służących w nim kapłanów. Żydzi nie skąpili ofiar na cele religijne. Szczególnie ofiarni byli bogaci pielgrzymi, którzy rzadziej odwiedzali miejsce święte. Wielu składających ofiarę chciało przeżyć przy tej okazji pewną satysfakcję. Wrzucali więc swoje hojne datki, tak by wszyscy obecni widzieli i podziwiali ich ofiarność i co tu ukrywać — zamożność. Chrystus na każdym kroku piętnował pobożność na pokaz. Ten, kto tak czynił „już odebrał swoją zapłatę”!

Prawdopodobnie Chrystus chciał sprawdzić, czy Apostołowie mają właściwy osąd w tym względzie. Poleciał im dyskretnie obserwować ofiarodawców składających datki do skarbony. Uczniowie szczególną uwagę zwracali na te osoby, które ich zdaniem złożyły w ofierze najwartościowsze dary. Drobne pieniążki rzucone przez biednych, ot choćby przez starszą kobietę — wdowę,

dzie mają w skarbcach, stanowiły nikły ułamek. Bogaty ofiarodawca nie odczuł nawet straty. Wprost przeciwnie. Zyskał podziw i sławę dobroczyńcy, co mogło procentować zaufaniem ludzi i szybkim pomnożeniem dóbr. Inaczej miała się rzecz z ubogą wdową. Ona pozostała bez środków do życia, oddając Bogu cały swój skarb. Powie ktoś: gdyby wszyscy zaczęli naśladować ową wdowę, sami nędzarze chodziliby po ziemi. Błędny wniosek. Pomagając innym, mobilizujemy bliźnich do pomocy również względem nas, zwłaszcza, gdy znajdujemy się w potrzebie. Chrystusowi nie chodziło o to, byśmy brali wzór z wdowy co do ilości, lecz raczej co do jakości ofiar.

Niestety i w naszych czasach ocenia się usługi i dary nie tak, jak chce Chrystus. Dziś grosz wdowi nadal nie ma uznania, a zachwyty budzą zapierające dech w piersiach gesty bogatych. A tak naprawdę w milionach współczesnych nam krezusów jest więcej potu i łez ubogich, wykorzystywanych wdów, niż znoju i wysiłku umysłowego milionerów. Na szczęście nie według zasobów kieszeni rośnie procent w niebie. Ofiarujmy Bogu (to znaczy na dobre cele) wszystko co mamy, bo tak naprawdę, wszystko jest Jego darem dla nas.

Ks. A.B.

Uroczystości religijno-patriotyczne w Studziankach Pancernych

Studzianki Pancerne — mała wioska w woj. radomskim. Tu, w sierpniu 1944 r., rozegrała się jedna z najkrwawszych bitew II wojny światowej na ziemiach polskich — bitwa o tzw. Przyczółek Magnuszewski.

W Studziankach znajduje się miejsce uświęcone i upamiętnione grobami pochowanych nieznanymi żołnierzami, którzy zginęli w walce sierpniowych dni oraz pomnik-czołg z walczącej dywizji pancerniej. W pierwszych latach po wojnie zostało zorganizowane w Studziankach duszpasterstwo parafii polskokatolickiej, wybudowano kościół i plebanię. Duszpasterze parafii bardzo aktywnie włączali się w prace społeczne — byli ich liderami. Dzięki temu zbudowano szkołę z izbą pamięci — muzeum, ośrodek zdrowia i pocztę.

Władze Zwierzchnie Kościoła Polskokatolickiego właśnie Studzianki Pancerne wybrały na miejsce obchodów 50-lecia wybuchu II wojny światowej. Uroczystość tę zorganizowano w dniu 5 września br. Program uroczystości składał się z dwóch części: w kościele i przy pomniku-czołgu.

Na uroczystość przybyli biskupi polskokatolicki, duchowieństwo i delegacje parafii z różnych stron Polski oraz przedstawiciele Kościołów chrześcijańskich i organizacji społecznych. Wojsko Polskie reprezentowali wyżsi oficerowie Garnizonu Warszawskiego, kompania honorowa i reprezentacyjna orkiestra wojskowa.

O godz. 12 rozpoczęła się Msza Święta pontyfikalna w intencji Ojczyzny, o spokój dusz poległych bohaterów Września oraz poległych „za wolność naszą i waszą” na różnych frontach II wojny światowej. Liturgii mszalnej przewodniczył Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski. Kazanie wygłosił ks. Adam Kuczma — superintendent generalny Kościoła Metodystycznego, który m.in. powiedział:

„(...) Zgromadziła nas tu dzisiaj niecodzienna uroczystość. Chcemy upamiętnić tragiczną rocznicę 50-lecia wybuchu II wojny światowej. Słuszną jest rzeczą, że tę bolesną rocznicę obchodzimy w nastroju modlitewnym. Modlimy się o pokój dla kraju. Modlimy się o pokój dla całego świata. Modlimy się za tych, którzy cierpieli i ginęli. Modlimy się też za tych, którzy nam wyrządzili krzywdę. Jako chrześcijanie doskonale rozumiemy znaczenie Bożego przykazania o miłości bliźniego, o miłości, która przebacza, i która — jak mówi apostoł Paweł — „jest spójnią doskonałości” (Kol 3,14).



Liturgii mszalnej przewodniczył Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski — zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego

Jest prawdą, że wspomnienia tamtych dni budzą w nas oburzenie, a nawet uczucia nienawiści do tych, którzy bez litości nas zabijali, wysyłali nas do obozów pracy, niszczyli nasze mienie, palili nasze wioski i miasta. Wszystko to czynili w imię szatańskich ideologii, nazistowskich uprzedzeń, lub w imię politycznej zaborczości, aby powiększyć swoje granice kosztem małych i słabych narodów.

Należę do tego pokolenia, które przeżyło te wszystkie barbarzyństwa i być może dlatego mam prawo mówić o tamtych czasach. W mojej pamięci na całe życie utrwaliły się takie nieludzkie sceny, jak uliczne łapanki, rozstrzeliwanie ludzi, których jedyną winą było to, że byli Polakami lub Żydami. Rozstrzeliwano ich wprost na ulicach, pod murami domów. Pamiętam tragiczne transporty ludzi do obozów koncentracyjnych. Pamiętam nocne deportacje na Syberię, obozy śmierci: Oświęcim, Majdanek, Treblinka, Katyń.

Dzisiaj, gdy wspominam tamte koszmarnie lata, serce moje boleje, i mimo woli zadaję sobie pytanie, czy my, którzy przeżyliśmy te wszystkie okropności wojny, te wszystkie nieszczęścia, a później skutki tej wojny, potrafimy właściwie odnieść się do tego, co się wydarzyło? Czy potrafimy ocenić, w kategoriach moralnych, ten ogrom krzywd, jakich doznał nasz naród? (...).

Obecnie przeżywamy nowy powiew, który ogarnął całą Europę Wschodnią, a który przyjął nazwę „pierestroiki” (...). Przeszliśmy długi szlak, od epoki stalinow-

skiej, wraz z jej bolesnym piętnem, który w postaci blizn na organizmie narodowym pozostanie na długie lata, do „Solidarności”, z którą lud polski wiąże wielkie nadzieje (oby te nadzieje nie okazały się płonne). Chcemy budować nowy ład społeczny, ale czy wiemy, jak to zrobić? Czy będzie można szybko zmienić złe nawyki, które zagnieździły się tak głęboko w naszym narodzie? (...).

„Jeśli można, o ile od was to zależy, ze wszystkimi ludźmi pokój miejcie” (Rz 12, 18). Myślę, że to pouczenie Wielkiego Apostoła jest bardzo aktualne w czasach, w których żyjemy. Dążenie do współżycia w pokoju ze wszystkimi, to jest nasza chrześcijańska dewiza. Myślę, że tym dzisiejszym nabożeństwem zmanifestowaliśmy naszą chrześcijańską postawę wobec tamtych dni sprzed 50 lat, jak również wobec dzisiejszych przemian. „(...) ze wszystkimi ludźmi pokój miejcie”. Amen”.

Zabrał również głos żołnierz Armii Krajowej ks. Donald Malinowski z Kanady — Kapelan weteranów armii kanadyjskiej, który poseł do Parlamentu Kanadyjskiego; „(...) Obchody 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej, która była nieszczęściem dla naszego kraju i całego świata, przywołują w naszej pamięci sylwetki wszystkich tych bohaterskich żołnierzy Polski, którzy w imię najlepiej pojętego patriotyzmu, walczyli z okupantem o wyzwolenie ukochanej Ojczyzny. Tych, którzy własną śmiercią pieczętowali najdroższe ich sercu imię — Ojczyzna. Jako żołnierz, świadek przelanej krwi bohaterskiego żołnierza polskiego, wyrażam — w

imieniu moich kanadyjskich kolegów, weteranów II wojny światowej — słowa hołdu i uznania dla bohaterstwa wszystkich tych, którzy walczyli w obronie ukochanej Ojczyzny. Dziś modlimy się w ich intencji, i gdy za chwilę udamy się pod Pomnik Pamięci, by złożyć kwiaty i wieńce, myślę, że staniemy się wspólnotą chrześcijan, ludzi dobrej woli, jakby rodziną pełną miłości i pokoju, której hasłem są słowa: „Nigdy więcej wojny — Never war again”.

Na zakończenie Mszy Św. odśpiewano „Boże, coś Polskę”.

Po Mszy Św., o godz. 13.30 wyruszyła procesja pod pomnik: delegacje z wieńcami, wiązkami kwiatów i ze sztandarami, duchowieństwo i wszyscy uczestnicy nabożeństwa. Przy pomniku nastąpiła druga część uroczystości.

Przy pomniku bohaterów walk o Przyczółek Magnuszewski w Studziankach Pancernych zebrali się: Biskupi, duchowieństwo i kilkaset polskokatolików przybyłych z różnych parafii w Polsce, mieszkańcy okolicznych wiosek, delegacje Wojska Polskiego, przedstawiciele władz centralnych i wojewódzkich, poczty sztandarowe Rady Synodalnej Kościoła Polskokatolickiego, Wojska Polskiego, Kombatantów, Straży Pożarnej i Harcerzy. Uroczystości uświetniła kompania honorowa Wojska Polskiego i reprezentacyjna orkiestra Wojskowego Okręgu Warszawskiego. Gospodarzem spotkania był Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski, który wygłosił patriotyczne przemówienie:

„I z głębin ziemi znowu nas wyprowadzisz. Rozmnożysz dostojność naszą, i znowu nas pocieszysz” (Ps 71, 20—21).

Dostojne Zgromadzenie!

W kościele parafialnym w Studziankach Pancernych złożyliśmy Ofiarę Eucharystyczną w intencji Ojczyzny — Polski. W szczególny sposób poleciliśmy Wszchemogącemu Bogu tych, którzy podczas II wojny światowej na ołtarzu Ojczyzny złożyli swe życie. Modliliśmy się o wieczny pokój dla wszystkich żołnierzy, którzy na różnych frontach walczyli o wyzwolenie Polski. Przybyliśmy pod czołg-pomnik, który jest symbolem Chwały oręża polskiego; jest symbolem bohaterskiej walki tych, którzy walczyli z hitlerowskim naporem. Do Studzianek Pancernych przybyliśmy z różnych stron Polski. Jest wśród nas wielu żołnierzy Września i

Ks. Donald Malinowski w Polsce

Na zaproszenie Pierwszego Biskupa Tadeusza R. Majewskiego przybył do Polski Ks. Senior Donald Malinowski z Kanady — były poseł do Parlamentu Kanadyjskiego i osobisty asystent premiera Kanady.

Ks. Senior Donald Malinowski jest człowiekiem wielkiego serca w wychodzeniu naprzeciw ludzkim potrzebom. Przez swój długoletni pobyt w drugiej ojczyźnie — Kanadzie (od 1948 r.) działał ofiarnie na forum polonijnym, spiesząc emigrantom różną po-

Ks. senior Donald Malinowski otrzymał medal Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka. Na zdjęciu od prawej: ks. Donald Malinowski, Pierwszy Biskup Tadeusz R. Mojewski, ks. dr J. Urbański, prof. dr hab. Maria Goncarzewicz



mocą. Był też dzielnym duszpasterzem parafii PNKK w Kanadzie. Szczególną troską ks. Donalda Malinowskiego było spieszenie z pomocą polskiej służbie zdrowia w pierwszych latach naszego gospodarczego kryzysu, szczególnie w stanie wojennym. Przez swą zapobiegliwą działalność ks. D. Malinowski zebrzał setki tysięcy dolarów, za które zakupił i przesłał do Kościoła i szpitali w Polsce medyczny sprzęt, setki tysięcy strzykawków i igieł jednorazówek oraz leki. Dzięki ks. D. Malinowskiemu Szpital Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie wzbogacił się o kilka „sztucznych nerek”, ratując życie chorym dzieciom.

Dzięki ks. Donaldowi Malinowskiemu Szpital Centrum Zdrowia Dziecka wzbogacił się o kilka „sztucznych nerek”, ratując życie chorym dzieciom



Korzystając z pobytu ks. seniora D. Malinowskiego w Polsce, Prezes Towarzystwa „Polonia” Tadeusz W. Młyńczak odznaczył ks. sen. D. Malinowskiego złotym medalem polonijnym.

Drugą uroczystością było przyznanie i wręczenie ks. Donaldowi Malinowskiemu medalu Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka przez prof. dr. hab. Marię Goncarzewicz i prof. Kostrzewskiego.

Ks. Sen. Donald Malinowski wziął również udział w uroczystościach religijno-patriotycznych w Studziankach Pancernych.



Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” przyznało ks. seniorowi Donaldowi Malinowskiemu złoty medal polonijny

Delegacja Europejskiej Rady Kościołów w katedrze warszawskiej

W dniu 16 września o godz. 18.00 w naszej katedrze pw. Św. Ducha w Warszawie odbyło się ekumeniczne nabożeństwo i modlitwy o pokój. W nabożeństwie udział wzięła delegacja Europejskiej Rady Kościołów z Genewy pod przewodnictwem Jej Generalnego Sekretarza. 14-osobowa delegacja składała się z przedstawicieli różnych Kościołów — członków Światowej Rady Kościołów. Delegacja przybyła do Polski, by wziąć udział w centralnych ekumenicznych obchodach 50-ej rocznicy wybuchu II wojny światowej, jakie odbyły się 17 września w kościele ewangelicko-augsburskim pw. Trójcy Świętej w Warszawie.

Nabożeństwu przewodniczył Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski, który powitał zagranicznych gości i odmówił specjalne modlitwy. Słowo braterskie do zgromadzonych skierował Sekretarz Generalny Europejskiej Rady Kościołów. Chór parafialny pod kierownictwem ks. dziek. dr. Tomasza Wójtowicza wykonał specjalne pieśni religijne o pokoju. Nabożeństwo zakończyło się odmówieniem wspólnym, w różnych językach „Ojcze nasz” i błogosławieństwem pasterskim Pierwszego Biskupa.

50-lecie wybuchu II wojny światowej

50-ta rocznica wybuchu II wojny światowej obchodzona była na całym świecie. Centrum tych bolesnych wspomnień była Warszawa. To 50 lat temu, 1 września 1939 r., wczesnym rankiem hitlerowskie hordy bez wypowiedzenia wojny napadły na Polskę. Rozpoczęła się najkrwawsza w dziejach świata II wojna światowa. Pozbawione wszelkich ludzkich uczuć, czci i wiary, łamiące wszelkie prawa Boskie i ludzkie, hitlerowskie wojska napadając na niewinne narody, niosły ze sobą orgię wojny, pożogę, cierpienia, mordy na niewinnej ludności cywilnej, totalną śmierć.

Te tragiczne wydarzenia pod hasłem „Nigdy więcej wojny”, w chwilach skupienia, refleksji, modlitwy i antywojennych wiecach przeżywała Warszawa — Miasto Nieujarzmione i cała Polska, z przybyłymi z całego świata delegacjami różnych narodów, ras i religii. W uroczystościach zorganizowanych z tej okazji uczestniczył w dniach 31 sierpnia i 1 września, Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski — Zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego i Biskup Wiktor Wysoczański oraz delegacje naszego Kościoła. Centralne spotkanie i uroczystości odbyły się na Zamku Królewskim, w Archikatedrze Warszawskiej, w auli Uniwersytetu Warszawskiego i pod pomnikiem Nike. Przy Grobie Nieznanego Żołnierza złożono wieńce bohaterom września i poległym na różnych frontach w walce o wolność Ojczyzny.

Ks. Kanclerz R. DĄBROWSKI



Premier T. Mazowiecki złoży w styczniu przyszłego roku oficjalną wizytę w siedzibie Rady Europy w Strasburgu — poinformował przewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnego Rady A. Bjoerck.

Odbyło się posiedzenie Rady Naczelnej PPS, któremu przewodniczył senator Jan Józef Lipski. Tematem posiedzenia były informacje o spotkaniu przedstawicieli PPS, KPN i SP z premierem Mazowieckim, o pracy posłów PPS, Henryka Michałaka i Kazimierza Blaszczyka w Sejmie i senatora J.J. Lipskiego w Senacie, oraz o pracy organizacji okręgowych PPS. Na spotkaniu omówiono również sprawę powołania stowarzyszenia wszystkich zainteresowanych nowoczesną myślą polityczną, związaną z tradycjami i współczesnością europejskich partii socjaldemokratycznych. Rada Naczelna zatwierdziła również skład redakcji „Robotnika”, organu PPS.

W Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia dyplomów honorowych i medali „Sprawiedliwy wśród narodów świata”. Zaproszono na nią 52 osoby, które z narażeniem własnego życia ratowały Żydów w latach niemieckiej okupacji. Odznaczenia i dyplomy przyznaje Rada do spraw Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, działająca przy Instytucie Pamięci Narodowej Yad Vashem w Jerozolimie.

Rada pracownicza żerańskiej FSO, na swym posiedzeniu potwierdziła rezygnację z produkowania w Warszawie samochodu „Iks”.

W tych dniach — twierdzi japońska agencja „Kyodo” — wznowione zostaną rozmowy, a może nawet szybkie decyzje w sprawie produkcji w Polsce samochodów „Daihatsu”. Firma ta proponuje model charade 1300, strona polska (podaje „Kyodo”) wolałaby auto z silnikiem Diesla o poj. 1600 ccm.

We wrocławskiej „Desie” odbyła się niedawno aukcja, na której sprzedano rzeźbę „Maddonna z dzieciątkiem” za 72 miliony 100 tysięcy złotych. Dzieło datowane jest na lata 1420—30. Cena wywoławcza wynosiła 35 mln zł. Zakupu dokonał prywatny kolekcjoner. Muzea państwowe z braku gotówki nie uczestniczyły w aukcji.

Decyzja ministra spraw wewnętrznych rozwiązane są obecnie wszystkie oddziały ZOMO. W 22 województwach tworzy się natomiast oddziały prewencji MO



Senator Zofia Kuratowska —
wicemarszałek Senatu

W Gwatemali odbył się kongres Międzynarodówki Chrześcijańsko-Demokratycznej, który wybrał nowe władze. Przewodniczącym został E. Fernandez z Wenezueli, a jednym z wiceprzewodniczących wybrano mec. W. Siła-Nowickiego.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Austrii zakomunikowało, że zamierza zastrzyć przepisy wobec emigrantów radzieckich pochodzenia żydowskiego, zamierzających przybyć do tego kraju. Ambasada w Moskwie ma w związku z tym otrzymać odpowiednie instrukcje.

W Lipsku doszło do kolejnej nielegalnej demonstracji społeczeństwa. Ulicami miasta przeszło około 8 tys. ludzi, wznosząc okrzyki „Wolność, równość i braterstwo”, domagając się zgody na rejestrację powstałej przed dwoma tygodniami opozycyjnej organizacji politycznej „Nowe forum”.

Liczba uchodźców obywateli NRD, którzy poprzez Węgry i Austrię wyjeżdżają do RFN przekroczyła 40 tysięcy.

Węgry odrzuciły krytykę władz NRD w sprawie wypuszczenia do Austrii obywateli tego państwa, którzy chcieli udać się do Republiki Federalnej Niemiec. „Węgry, opierając się na zasadach sprzecznych w porozumieniach helsińskich — oświadczył w wywiadzie dla „Bild am Sonntag” — otworzył granicę. Jeśli rzeczywiście chce się budować Europejski Dom, o którym mówił Michail Gorbaczow, to nie można ponownie zamknąć granicy. Nie wolno dopuścić, aby w takim Domu znalazły się pokoje oddzielone od siebie zasiekami z drutu kolczastego”.

W Malmoe odnotowano oficjalnie pierwszy przypadek zatrucia bakteriami salmonelli zawartymi w kiełbasie sprzedanej przez handlujących polskich turystów. Władze i policja w Malmoe ze szczególnym niepokojem odnoszą się do handlu mięsem i żywnością w obawie przed pojawieniem się groźnych chorób zwierzęcych, od których wolna jest od dłuższego czasu Szwecja. Byłoby to bowiem katastrofalne dla rodzimego przemysłu mięsnego.



Sekretarz KC NSPJ Kurt Haager oświadczył, że Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności nie widzi żadnej potrzeby nadszeregowania przeprowadzonych w ZSRR reform, ponieważ ich założenia nie można przenosić do innych krajów,

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE • W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE • W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE • W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE • W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE • W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE • W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE • W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE • W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

Znikanie z księgarni książek polskich psychiatrów i psychologów oraz tłumaczeń dzieł Fromma, Junga czy Horney mówi o tym, że wielu potrzebuje pomocy. Wskazuje, że pytania „jaki właściwie jestem?”, „jaki kształt nadać swemu istnieniu?” itp. nurtują nas, wzmagając poczucie zagubienia i osamotnienia. Samodzielne studiowanie nie zawsze jest pożyteczne dla czytelników. Nie dysponując solidną wiedzą psychiatryczną czy psychologiczną mogą oni — ze szkodą dla siebie — wyolbrzymić jedne stwierdzenia tych książek z pominięciem innych.

Tak się jednak dzieje, że w rozwiązywaniu problemów swego istnienia każdy jest zdany niestety na siebie. Rzadko znajduje w tym pomoc. System kształcenia, system wychowawczy nie są źródłami tej wiedzy. Rady rodziców — jeśli mogłyby spełniać swe zadanie — przyjmowane są niechętnie.

Pozostaje wiedza naukowa. Nie ma rozpraw z filozofii człowieka, z których wynikałyby wnioski pomocne w przezwyciężaniu psychicznych trudności naszej egzystencji. Stąd zwracanie się ku rozprawom psychiatrycznym i psychologicznym, zwłaszcza, że poza nimi nie bardzo mają gdzie się zwrócić ci, którzy rady oczekują.

Jerzy Gąsiorowski w rozważaniach o prowokującym tytule, „Czy lepiej być wariatem czy normalnym?” stwierdza, że uleczyć innego człowieka można przede wszystkim miłością i „trudno wymagać od psychiatry, aby był zdolny do miłości dla wszystkich swoich pacjentów”. Działania racjonalizowane, naukowe, które pozostają psychiatrze, nie mogą przynieść wyników, których spodziewa się on i których oczekują jego pacjenci.

Ci, którzy poszukują rozpraw psychologicznych i psychiatrycznych zapewne najbardziej oczekują odpowiedzi na pytanie, jaki wzorzec człowieka proponują autorzy i jakie są drogi jego osiągnięcia. Są to ludzie mający kłopoty z sobą, bądź konflikty z otoczeniem. Chcą sami temu zaradzić. Chcą lepiej poznać samych siebie i trafniej sterować własnym życiem. Ale czy muszą w tym celu wnikać w stany patologiczne?

Wątpliwość ta ma podstawę również i dlatego, że pytania co leczyć, jak leczyć i co jest stanem normalnym stanowią w świecie psychiatrów oraz psychologów przedmiot dyskusji. Wciąż zarysowują się nowe stanowiska. A więc po co wrowadzać każdego, kto oczekuje pomocy i pozostaje w granicach tzw. normy w świat chorób i różnorodnych na ich temat opinii? Jest to niebezpieczeństwo duże zwłaszcza dla psychiatrów i psychologów jest

ciąg dalszy na str. 7

Z zagadnień dogmatyki katolickiej



rys. Jerzy Mierzwiak

Komunia święta

Omówimy dziś trzecią część mszalnego tryptyku — Komunię świętą. Czasami, zamiast Komunii świętej, w nazewnictwie występuje jej równoważnik — Święta Uczta. Nim jednak rozpoczniemy przegląd tego, co dzieje się w tej trzeciej odsłonie mszalnej, pragnę uzupełnić poprzednią gawędę. Brakło wówczas miejsca na wspomnienie o tych elementach modlitwy eucharystycznej, które noszą miano epiklezy. To greckie słowo oznacza wezwanie do Ducha Świętego — Sprawcy wszelkiego uświęcenia.

W Modlitwie eucharystycznej możemy znaleźć nie jedną, ale cztery epiklezy. Ostatnia poprzedza obrzędy komunijne. Kapłan podnosi święte postaci razem i mówi: „Przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie, Tobie, Boże wszechmogący w **jedności Ducha Świętego** wszelka cześć i chwała przez wszystkie wieki wieków!” Zaraz cały Kościół, zgromadzony na Mszy Świętej, powstanie i odmówi modlitwę, której nas nauczył sam Zbawiciel: „Ojciec nasz, któryś jest w niebie”. Ta właśnie modlitwa, powtarzana przez chrześcijan wszystkich wyznań, jest wprowadzeniem do obrzędu komunijnego. W zakończeniu „Ojciec nasz” znajduje się prośba o wyzwolenie od złego i o pokój. Prośba znajduje rozwinięcie w dwu modlitwach i zawołaniu: „Pokój pański niech zawsze będzie z wami” oraz w zachęcie do przekazania sobie nawzajem znaku pokoju: Pokój, jak wiemy, jest darem Ducha Świętego, a Eucharystia jest sakramentem jedności i pokoju.

Komunia Święta nie jest czymś mniej ważnym od konsekracji. Jest jakby rewersem właściwej Ofiary. Jezus Chrystus, jako najwyższy Arcykapłan, ofiarował siebie Ojcu, ale ofiaruje się rów-

nież nam! Właśnie w Komunii świętej!

W Komunii Zbawiciel syci nasze dusze i ciała samym sobą. To również jest wielka tajemnica wiary! Nim rozpocznie się Święta Uczta, następuje obrzęd Łamania Chleba. Kiedyś kapłan dzielił na kawałki konsekrowany Chleb, by starczyło go dla wszystkich zebranych. Obecnie w naszej liturgii dzieli jedynie dużą Hostię. Chleb święty, przeznaczony dla wiernych, ma już gotowy do spożycia kształt. Łamanie ma jeszcze jeden cel. Oto maleńka część Hostii wpuszcza celebrans do Kielicha, mówiąc cicho: „Ciało i Krew Pana naszego, Jezusa Chrystusa, które łączymy i będziemy przyjmować, niech nam pomogą osiągnąć życie wieczne”. To samo Ciało, i ta sama Krew, dzielone później między komunikujących, łączą wszystkich w Chrystusie. To dzięki Chrystusowi możemy stanowić jedno. Taka jest moc Komunii. Ona pozwala urzeczywistnić marzenie naszego Pana i Zbawiciela: „Aby wszyscy stanowili jedno”.

Podczas łamania Chleba śpiewa się trzykrotnie: „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami!” — z tym, że trzecie zawołanie zawiera znów prośbę o pokój — pokój boży, który przewyższa wszelkie pojęcia. Jeszcze jedna modlitwa i zacznie się Uczta Eucharystyczna. Poprzedzi ją wezwanie, czy raczej zaproszenie do Stołu Pańskiego: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata. Błogosławieni, którzy zostali wezwani na ucztę Baranka. Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”. Pierwszy spożywa Ciało i Krew Zbawiciela Celebrans, przewodniczący zgromadzeniu ofiarnemu. Po nim wierni łączą się z Chry-

stusem w Komunii świętej. Dokonuje się Tajemnica nie mniejsza od tej, gdy Chrystus zmienił chleb w swoje eucharystyczne Ciało, a wino w cudowny Napój. Dzięki Darom Eucharystii, Bóg przychodzi do nas, aby nas upodobać do siebie i obdarzać nasze ciało własnościami Ciała Zbawiciela — załączkiem nieśmiertelności i prawem do chwały w niebie.

By Najświętszy Sakrament mógł spowodować zamierzone przez Chrystusa skutki w człowieku, każdy komunikujący musi spełnić pewne warunki. Najważniejszym warunkiem jest czystość serca. Eucharystia bowiem jest Sakramentem żywych, czyli takich ludzi, którzy mają łaskę uświęcającą w sobie. Kto popełnił grzech ciężki i zerwał łączność z Ojcem niebieskim — musi najpierw oczyścić się w sakramencie Pokuty. Gdyby tego nie uczynił i przystąpił do Komunii świętej w stanie grzechu śmiertelnego, popełniłby świętokradztwo. Już Apostoł Paweł przestrzega przed takim nieszcześcieniem i jego konsekwencjami. W I Liście do Koryntian pisze: „Ktokolwiek by jadł ten Chleb i pił kielich Pański niegodnie, będzie winien Ciała i Krwi Pańskiej... Ten człowiek sam sobie je i pije”. Ludziom przyjmującym Komunię świętą w stanie łaski, po należytych przygotowaniach sam Chrystus obiecuje życie wieczne: „Kto pożywa Ciało moje i pije Krew moją, ma żywot wieczny, a ja go wskreszę w ostatni dzień”. Obrzędy kończące Mszę świętą składają się z modlitw pokunijnych, błogosławieństwa udzielonego zebrany i ogłoszeniu finału celebracji: „Oto ofiara spełniona!” Odchodząc, starajmy się żyć w pokoju Chrystusa.

Ks. A. BIELEK

Przygotowania do zawarcia Unii

Na następcę arcybiskupa Van Santena Kapituła Utrechtu powołała Henricusa Loosa, który sakrę biskupią uzyskał w 1858 roku.

Nowy arcybiskup, człowiek bardzo wykształcony i zdolny, nie miał spokojnego episkopatu. Jego wybór kontestowany był mocno przez biskupa Deventer, zaistniał też długi i ostry spór z duchownymi diecezji Haarlemu w związku z nominacją nowego biskupa dla tej diecezji, toczył się też pewien spór prawny z seminarium. Wszystkie te problemy spowodowały, że był to okres trudny dla arcybiskupa Loosa. Zbyt dużo miał on wówczas opozycjonistów, a zbyt mało zrozumienia. A jednak to właśnie on wraz z kilku innymi duchownymi Kościoła Utrechckiego najlepiej zanalizował sytuację swego Kościoła. On zobaczył wyraźnie całą jego autentyczną katolickość, ale także stan letargu, w jakim się Kościół znajdował.

Henricus Loos nie pozwolił się przytłoczyć licznym troskom. Przeciwnie, udało mu się zaszczerpić u wiernych dużo nadziei, wzmacniając ich świadomość i utożsamienie się z Kościołem. Nawet najmniejsze parafie odnalazły dynamizm, zagubiony w ciągu dziesięcioleci. Na przestrzeni całego episkopatu arcybiskupa Loosa nie było mowy o zamykaniu istniejących parafii, przeciwnie: ilość wiernych znacznie wzrosła. powstały też nowe kościoły.

Wiadomość o zwołaniu Soboru Watykańskiego pierwszego w 1868 roku spowodowała w Kościele Utrechckim pewne poruszenie, po tym zwłaszcza, jak 18 lipca 1870 roku ogłoszony został dogmat o nieomylności papieża. Choć nie było mowy o zaakceptowaniu nowych dogmatów, Kościół Utrechcki nie wystosował wówczas żadnego oświadczenia. Arcybiskup Loos nie nadał też biegu propozycji księdza Van Vlotten z Hagi, który proponował opublikowanie listu pasterskiego w związku z zaistniałą sytuacją. Ksiądz Van Vlotten opublikował jednak sam broszurę protestującą przeciw nowym dogmatom.

Tymczasem decyzja Soboru Watykańskiego o nowym dogmacie wzniesiła silny opór w wielu środowiskach. Już podczas Soboru wielu biskupów protestowało przeciwko temu projektowi, szczególnie biskupi niemieccy, austriaccy i francuscy. W różnych krajach nowe dogmaty spowodowały narastanie ruchów separatystycznych, zwłaszcza w Niemczech i w Szwajcarii.

Opozycja w Niemczech była dość silna, m.in. wśród profesorów Uniwersytetów w Monachium i Bonn. Również wielu

duchownych miało odwagę zaoprotestować przeciwko nowym dogmatom.

Tak więc ruch ten rozszerzał się na różne kraje europejskie i na różne środowiska. Nie było jednak wśród protestujących żadnego biskupa.

Pierwszym duchownym Kościoła Utrechckiego, który nawiązał kontakt z twórcami „ruchu starokatolickiego” był wspomniany już ksiądz Van Vlotten. Uczynił to zresztą w porozumieniu z arcybiskupem Henricusem Loosem.

Pierwszy Kongres Starokatolicki odbył się w Monachium w 1872 roku. Oprócz biskupów niemieckich obecni byli również przedstawiciele Szwajcarii, Austrii, Włoch, Francji, Irlandii. Kościoła Anglikańskiego w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych. Kościół Utrechcki reprezentowało 3 duchownych, wśród nich Van Vlotten.

Po pozytywnej ocenie wyników tego Kongresu, arcybiskup Loos zdecydował się udać w apostołską podróż do Niemiec, podróż, która stała się niezwykle ważną dla rozwoju stosunków między starym Kościołem Utrechckim, a nowym ruchem niemieckim, mającym przybrać wkrótce nazwę Kościoła Starokatolickiego.

W drugim Kongresie Starokatolickim, który odbył się w Kolonii, arcybiskup Loos uczestniczył już osobiście. W trakcie Kongresu i w wyniku jego ustaleń uzgodniono wybór jednego lub dwóch biskupów starokatolickich w Niemczech, których sakry miał dokonać właśnie arcybiskup Loos. Niestety, w dniu, w którym dokonano wyboru Josepha Hubertusa Reinkensa — arcybiskup Henricus Loos zmarł nieoczekiwanie. Sakry biskupiej Josepha Reinkensa i Casparusa Johannes Rinkela, biskupa Haarlemu, dokonał w 1874 roku nowy arcybiskup Utrechtu, Johannes Heykamp.

W Niemczech opozycja Kościoła wobec nowych dogmatów była przede wszystkim natury religijnej i teologicznej, podczas gdy w Szwajcarii pochodziła ze strony osób świeckich, co nadawało jej aspekt bardziej polityczny, wywodzący się ze sprzeciwu wobec ograniczeń swobody i demokracji. Już w 1872 roku niektóre wspólnoty zorganizowały się tu w Kościół Katolicko-Chrześcijański, a w 1876 roku prof. Edward Herzog wybrany został jego biskupem.

W Niemczech i Szwajcarii wprowadzone zostały bardzo szybko nowe przepisy, znoszące np. celibat księży czy konieczność spowiedzi usznej. Zastąpiono również łacinę w liturgii językami narodowymi.

Wszystkie te bardzo poważne przeciwie zmiany nie znalazły zrozumienia w Holandii, a zwierzchnicy Kościoła Utrechckiego, w obawie przed utratą „katolickości” swego Kościoła, wstrzymywali się przed zaakceptowaniem tych zmian. Dlatego też m.in. arcybiskup Johannes Heykamp nie uczestniczył w sakrze biskupiej biskupa Herzoga, której dokonał nowy biskup niemiecki, Reinkens.

Tymczasem w Niemczech i w Szwajcarii bardzo dążono do bezpośredniej współpracy między tymi trzema Kościołami. Po długich debatach wewnątrzkościelnych, trwających faktycznie od 1874 do 1884 roku, na kolejnym Kongresie Starokatolickim można było wreszcie stwierdzić, że i Kościół Utrechcki zgadza się na wprowadzenie proponowanych przez Kościoły starokatolickie zmian. Droga do Unii Kościołów Starokatolickich była otwarta.

A przeciwie punkty wyjściowe do tej wspólnej drogi były bardzo różne. Stary Kościół Utrechcki, pochodzący od św. Willibrorda miał za sobą już długą historię, wieki walki o utrzymanie swej tożsamości, zapewnioną sukcesję apostołską. Przez cały czas dążył jednak do pozostania we wspólnocie z Rzymem. Wprowadzenie nowych dogmatów z 1854 i 1870 roku praktycznie oznaczało dla Kościoła Utrechckiego koniec nadziei na pojednanie, tym bardziej, że Rzym wciąż wymagał całkowitego podporządkowania.

Katolicy zjednoczeni w Ruchu Starokatolickim w Niemczech i Szwajcarii przebyli tymczasem zupełnie inną drogę. Ich opozycja wobec Rzymu zaczęła się dopiero w roku 1870, nie przeżyli więc nigdy okresu działalności Kościoła w ukryciu, jak Utrecht. Nie była więc prosta realizacja drogi ku jedności tych Kościołów, ale udało się to, przede wszystkim dzięki biskupowi Herzogowi. Wszystkie przeszkody stojące na tej drodze zostały wreszcie pokonane.

23 września u arcybiskupa Utrechtu Johannes Heykampa zebrał się Johannes Rinkel, biskup Haarlemu, Cornelis Diependaal, biskup Deventer, Edward Herzog ze Szwajcarii i Joseph Reinkens z Niemiec. W następstwie długotrwałych przygotowań i dyskusji ostateczny dokument, Deklaracja Utrechcka, podpisany został 24 września 1889 roku.

Na podst. książki B.W. Verheya „L'Eglise d'Utrecht”

oprac. i tłum.

E. DERELKOWSKA

przekonana, że wyraża prawdę nie tylko o człowieku chorym, ale o człowieku w ogóle.

Podobnie pisarze współcześni często opisują w swych powieściach ludzi w sytuacjach granicznych, ludzi — wraki, indywidualności „pokrecone”, niemal przypadki z klinik psychiatrycznych. Ale literatura piękna rządzi się innymi prawami. Pisarze, sięgając do takich przykładów, ujawniają podstawowe prawdy dotyczące istnienia człowieka w świecie. One bowiem oraz bohaterowie powieści ustawił w sytuacjach granicznych, wyrażają najostrożniej człowieczeństwo w przerysowaniu tego, co obserwujemy w świecie ludzkim.

Natomiast literatura naukowa, ta, której tak bardzo poszukują obecnie czytelnicy, opisuje stany w dostrożonym znaczeniu patologiczne, stykanie się z którymi jest niewskazane, zwłaszcza dla tych, którzy są nerwicowcami czy psychonerwicowcami.

Szukanie w pracach psychiatrów i psychologów odpowiedzi na trudności związane z istnieniem znajdowałoby jedynie uzasadnienie — w teorii Szasza. Mianowicie zdaniem wymienionego uczonego choroba psychiczna nie istnieje. Jest czymś realnym... dokładnie w tym samym sensie, jak kiedyś realne były czarownice”. I w innym miejscu: „choroba psychiczna odnosi się do wydarzeń socjopsychologicznych, na które otoczenie społeczne wywiera decydujący wpływ. Można by więc twierdzić, że skoro — zdaniem Szasza — „współcześni psychoterapeuci mają do czynienia z problemami psychicznymi i ich leczeniem”, to wobec tego tzw. zdrowi psychicznie mogą, zglębając pisane przez nich książki, osiągnąć poszukiwaną przez nich wiedzę o życiu.

Stanowisko Szasza jest radykalne, gdy głosi, że to, co ludzie nazywają chorobą psychiczną, głównie polega na komunikatach wyrażających niemożliwe do zaakceptowania idee, często ujęte w niespotykane formy słowne, polega na zachowaniu niespektującym pewnych norm etycznych, politycznych i społecznych.

Dlatego jednak to znikanie z księgarń książek Fromma, Junga, Jacobi — by poprzestać na wymienieniu kilku tylko nazwisk autorów obcych — uznać można zarazem za zjawisko budzące optymizm — mimo negatywnych stron? Dlatego, że świadczy ono o pogłębieniu refleksji nad własnym istnieniem, o szukaniu celów przekraczających wymiar codziennego doświadczenia i o uporczywie stawianym pytaniu: jak żyć?

Uroczystości religijno-patriotyczne w Studziankach Pancernych



Kazanie wygłosił ks. Adam Kuczma
superintendent generalny Kościoła Metodystycznego



Głos zabrał ks. senior Donald Malinowski —
żołnierz Armii Krajowej,
kapelan weteranów armii kanadyjskiej



Pierwszy Biskup Tadeusz R. Majewski wygłosił
patriotyczne przemówienie przy pomniku-czołgu



Delegacje składają wieńce

dokończenie ze str. 3

Polski Walczącej. Jest i żołnierz szeregow Armii Krajowej z lasów świętokrzyskich, a obecnie poseł do parlamentu kanadyjskiego — ks. Donald Malinowski. Jesteśmy w Studziankach Pancernych, aby oddać hołd wszystkim poległym na różnych frontach II wojny światowej, w walkach o wolność Ojczyzny.

Dla nas, Polaków, wrzesień ma szczególną wymowę. My, starsze pokolenie, żywo mamy w pamię-

ci polski Wrzesień 1939 r. poświęcenia, bohaterstwa, ofiarnie przeleanej krwi w beznadziejnych warunkach osamotnienia. Wrzesień żołnierskiej męki i śmierci braci naszych w słonecznym żarze, na rozkwitłych wrzosach.

Wrzesień narodowej, walki wszystkich Polek i Polaków. Bez względu na walki i tych z pałaców, i tych spod wiejskich strzech oraz tych wszystkich, którzy w obronie ojczystego kraju szli w zwartym szeregu, aby stawić opór najeźdźcy.

To spojrzenie w przeszłość przywodzi nam smutek i odnowienie starych ran. Młodsze pokolenie, które wraz z rodzicami łączy się solidarnie w smutkach i wspomnieniach, zwraca nasze spojrzenie w przyszłość, gdzie rysują się pewne oznaki nadziei. Istotnie, doświadczamy dzisiaj procesu zmian, które przed 50 laty wydawały się niemożliwe, a co przejawia się w odprężeniu w polityce międzynarodowej, a także w redukcji sił militarnych na naszym kontynencie. Do tego

dochodzi jeszcze koncepcja wspólnego europejskiego domu, która odsłania nam nowe horyzonty. Bóg, Stwórca świata i życia, w swych przykazaniach danych człowiekowi, nakazał: „Nie zabijaj!” Jeżeli przyjmiemy to przykazanie nie tylko jako zwykły zakaz, lecz jako obietnicę, zdobywamy widoki na przyszłość, które dla nas przed 50 laty były całkowicie zakryte. Wówczas przeżywalibyśmy wojnę i wroga okupację hitlerowską, jako zmasowane, zorganizowane morder-

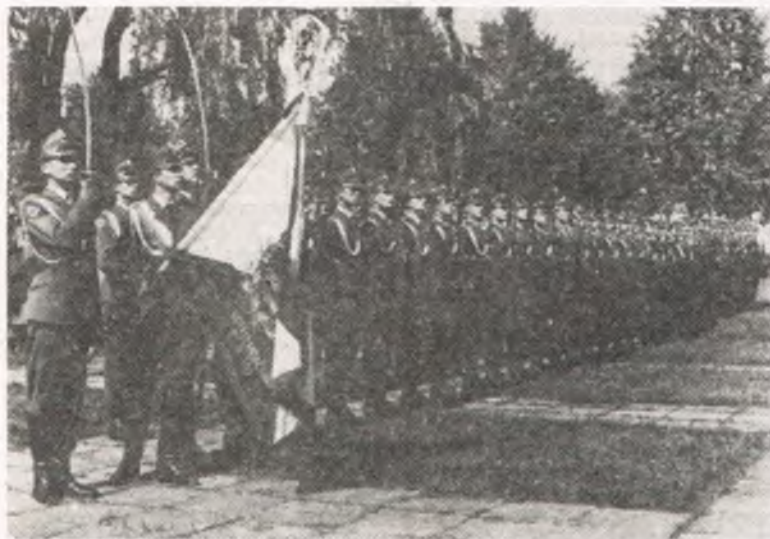
stwo, które pochłonięło ponad 6 mln naszych Sióstr i Braci. Ta masowa śmierć Polaków pozostawiła w naszych sercach głębokie rany, które przywodzą nam na myśl słowa żołnierskiej pieśni: „Choćbyś oczy wypatrzyła, nie zobaczysz matko syna”. Ale w tych samych sercach obudziła się mimo to żywa nadzieja, wyrażona w słowach Psalmu: „I z głębi ziemi znowu nas wyprowa-

Warszawy. Nie było ulic i domów, jedna wielka sterta gruzów znaczyła miejsce, gdzie leżała stolica. I tak było na całym obszarze Polski. Dymiące zgłiszcza znaczyły szlaki przejścia barbarzyńskiego najeźdźcy.

Druga wojna światowa to rozlewisko ludzkiej krwi, 50 mln ludzi pozbawionych zostało życia, a 90 mln zostało inwalidami. Dlatego głosiliśmy, i nadal to



W czasie Mszy Św.



Kompania honorowa Wojska Polskiego

dzisz. Rozmnożysz dostojność naszą, i znowu nas pocieszysz” (Ps 71, 20—21).

Dostojne Zgromadzenie!

1 września 1939 roku na stolicy Polski, Warszawę, padły pierwsze niemieckie bomby. Fakt hitlerowskiej agresji na Polskę został dokonany. Był to początek burzenia stolicy Polski. 50 lat temu Warszawa legła w gruzach. My, rdzenni Warszawiacy, nie poznaliśmy jej ulic, bo nie było

czynić będziemy, że każda wojna jest przestępstwem przeciw Bogu i człowiekowi. Dlatego zadaniem każdego chrześcijanina jest uczynienie wszystkiego, co tylko leży w jego mocy, aby wojnie zapobiec i wykluczyć ją. Jako chrześcijanie, jako część ludzkości, mamy także obowiązek ekspiacji względem Boga za przelaną krew naszych braci, za życie ludzkie, które człowiekowi człowiekowi odbierał i jeszcze odbiera w

ciąg dalszy na str. 14

A P E L

KOŚCIOŁA POLSKOKATOLICKIEGO

do wszystkich ludzi na świecie
w sprawie pokoju

Biskupi, duchowieństwo i wierni Kościoła Polskokatolickiego, zgromadzeni w Studziankach Pancernych w dniu 5 września 1989 r. okazji 50-tej rocznicy wybuchu II wojny światowej,

- wspominając tragiczne wydarzenia września 1939 r., tego września, który tak boleśnie wpisany został w historię Narodu Polskiego i zapoczątkował wieloletnią gehennę wielu narodów świata;
- a także oddając hołd wszystkim poległym i pomordowanym na frontach II wojny światowej, hołd ofiarom obozów koncentracyjnych, ofiarom terroru i nienawiści —

kierują do wszystkich bez wyjątku ludzi na tej ziemi swój gorący apel o zdecydowane podjęcie trudów i wysiłków na rzecz budowania pokoju tak, by hasło „Nigdy więcej wojny”, nigdy rozwiązywania sporów międzynarodowych przy użyciu sił militarnych, stały się rzeczywistością życia i rozwoju narodów.

Nasz apel kierujemy do wszystkich, którzy w szczególny sposób odpowiedzialni są za losy państw i narodów, by swoimi decyzjami i odważnymi działaniami przyczynili się do całkowitej redukcji sił nuklearnych, do zlikwidowania anachronicznych bloków wojskowych, a cały potencjał militarny — ludzki i materialny — przeznaczili na cele służące dobru, rozwojowi i szczęściu narodów.

Doświadczenia II wojny światowej; ziemia nasiąknięta krwią, złana obficie łzami matek, wdów i sierot, ogrom bólu i rozpacz, obraz zniszczenia materialnego, kulturowego i spustoszenia moralnego — każą nam dziś podnieść głos, by na ziemi w miejsce ognia i pożogi wojennej, zapłonął na zawsze płomień pokoju. Wszyscy czynmy na tej ziemi pokój!!!

„Błogosławieni pokój czyniący” (Mt 5,9).

Wezwaniem i słowami Jezusa Chrystusa — naszego Zbawiciela i Pana, Księcia i Dawcy Pokoju — zwracamy się dziś do wszystkich ludzi wiary, do bratnich Kościołów w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanadzie, do wszystkich Starokatolickich Kościołów Unii Utrechckiej w Europie i Azji, do Kościoła Rzymskokatolickiego, do Kościołów Prawosławnych, Anglikańskich i Protestanckich, do Światowej Rady Kościołów i do Europejskiej Konferencji Kościołów w Genewie, do Narodowej Rady Kościołów w Nowym Jorku, do wyznawców wszystkich religii na całym świecie, do organizacji politycznych, społecznych i zawodowych.

Uczynmy wszystko, aby cała ziemia zgodnie z wolą Stwórcy, łaską Jezusa Chrystusa i mocą Ducha Świętego stała się dla pokoleń wszystkich czasów ziemią błogosławioną, domem szczęścia, sprawiedliwości, wolności i pokoju.

STUZZIANKI PANCERNE

5 września 1989 R.P.

STALIN

(Dalszy ciąg fragmentów książki Borysa Bażanowa pt. „Byłem sekretarzem Stalina”, Kwartalnik Polityczny „Krytyka”, Warszawa 1986 r. Przedruk fragmentów rozpoczęliśmy w „Rodzinie” nr 42).

„Czas pomówić o towarzyszu Stalinie. Znam go już dobrze, chyba nawet bardzo dobrze.

Wygląd zewnętrzny Stalina jest powszechnie znany. Tyle tylko, że na żadnym portrecie nie widać, że twarz ma porytą dziobami po ospie. Poza tym twarz bez wyrazu, wzrost średni, chód kaczy, cały czas pyka fajkę.

Różni autorzy twierdzą, że miał uszkodzoną jedną rękę i nie w pełni nią władał. Jego córka, Swietłana mówiła, że słabo poruszała prawą ręką, zaś bolszewik Szumiacki pisał w radzieckiej prasie, że Stalin nie mógł zginać lewej ręki. Prawdę mówiąc, nigdy nie zauważyłem u niego wady tego typu. W każdym razie często widywałem, jak prawą ręką wykonywał szerokie, zamaszyste gesty, mógł ją zginać i prostować. Nie wiem jednak, bo Stalin nigdy przy mnie nie pracował fizycznie, czyli lewą ręką miał w zupełnym porządku. Nigdy nie miałem okazji tego sprawdzić.

Prowadzi tryb życia bardzo niezdrowy, siedzący. Nigdy nie zajmując się sportem czy jakąś pracą fizyczną. Pali (fajkę), pije (wino, najchętniej kachetyńskie). W drugiej połowie swego panowania każdy wieczór spędza przy stole — przy jedzeniu i pićiu, w towarzystwie członków swego Biura Politycznego. Zdumiewające, że przy takim trybie życia dożył 73 lat.

Zawsze spokojny, doskonale panuje nad sobą. Skryty i nad wyraz chytry. Niezwykle mściwy. Nigdy niczego nie przebacza i nie zapomina — zemści się i po 20 latach. Bardzo trudno w jego charakterze znaleźć jakieś sympatyczne cechy — mnie się to nie udało.

Stopniowo powstawały o nim mity i legendy. Na przykład — o jego niebywałej woli, nieugiętości i zdecydowaniu. Ale to tylko mit. Tak naprawdę jest niezwykle ostrożny i niezdeterminowany. Bardzo często nie wie, co i jak robić. Nie daje jednak tego po sobie poznać. Wiele razy widziałem, jak się waha, nie może podjąć decyzji i poddaje się biegowi zdarzeń, miast nim kierować.

Czy jest mądry? Jest niegłupi i nie pozbawiony wrodzonego zdrowego rozsądku, którym świetnie się posługuje. (...).

Stalin jest człowiekiem małej kultury, nie czyta, niczym się nie interesuje. Nauka i metody naukowe są dla niego czymś niedostępnym i nieciekawym. Mówiąc jest złym, mówi z silnym ak-

centem gruzińskim. Jego przemówienia zawierają mało treści. Mówi z trudem, dobiera słów wodząc oczami po suficie. Zadanych prac nie pisze; to, co uchodzi za jego dzieła, to wystąpienia i przemówienia, wygłaszane przy różnych okazjach — później sekretarze tworzą ze stenogramów coś w rodzaju literatury (on sam nawet nie spojrzy na wynik; nadanie ostatecznej formy artykułowi czy książce — to sprawa sekretarzy). Zazwyczaj zajmuje się tym Towstucha. (...)

Sztuka, literatura czy muzyka są Stalinowi obojętne. Z rzadka chodzi do opery, najczęściej na Aida.

Kobiety. Stalin nie interesuje się i nie zajmuje kobietami. Wystarcza mu jego żona, którą też zajmuje się niewiele. Jakże zatem ma namiętności?

Ma tylko jedną, ale za to niezwykle zaborcza, absolutną, pochłaniającą go bez reszty — żądę władzy. Pasja maniacka, pasja azjatyckiego satrapy z dawnych czasów. Jej tylko służy, nią tylko się zajmuje, w niej tylko widzi cel życia.

W walce o władzę taka pasja oczywiście bardzo się przydaje. Jednakże trudno na pierwszy rzut oka zrozumieć, jak z tak skąpym arsenałem środków Stalin mógł dojść do absolutnej, dyktatorskiej władzy. (...).

Stalin rozpoczyna jako mały znaczący prowincjonalny rewolucjonista-agitator. Kierowana przez Lenina bolszewicka grupa zawodowych rewolucjonistów bardzo mu odpowiada — nie musi tu pracować jak inni ludzie i może żyć na koszt partyjnej kasy. Stalin nigdy nie miał serca do pracy. Istnieje oczywiście pewne ryzyko — można zostać aresztowanym i wysłanym na północ pod nadzór policji. W stosunku do socjaldemokratów represje te dalej nie sięgają (z eserowcami, rzucającymi bomby, władze postępują znacznie surowiej). Zesłańcom władze carskie dostarczają wszystkiego, co niezbędne. W granicach wyznaczonego miasteczka lub osiedla można żyć swobodnie. Można też uciec, lecz wówczas przechodzi się do podziemia. Życie szeregowego agitatora jest jednak znacznie mniej wygodne (i mniej w nim możliwości) niż życie liderów — leninów i martowów w Genewach i Paryżach; przywódcy zdecydowanie nie mają zamiaru narażać swych drogocennych osób na jakiegokolwiek niewygody (...).

„Lenin jest bardzo wdzięczny Stalinowi za jego działalność i skłonny jest przesunąć go wyżej po szczeblach drabiny partyjnej, na przykład wprowadzić do KC. Nie można jednak tego zrobić raz i zjedzie partii. Delegaci mog-

liby powiedzieć: Bardzo dobrze, że organizuje dla partii zbrojne napady, ale to jeszcze nie powód, by wprowadzać go do grona przywódców. Lenin znajduje sposób: w 1912 r. towarzysz Stalin zostaje „dokooptowany” do KC bez żadnych wyborów. Ponieważ później, aż do rewolucji, żyje na zesłaniu, jego sprawa w ogóle się w partii nie pojawia. W momencie wybuchu rewolucji lutowej wraca z zesłania do stolicy już jako stary członek KC (...).

W tamtym okresie (lata dwudzieste) Stalin prowadził bardzo prosty tryb życia. Nosił stale prosty, półwojskowy garnitur, buty z cholewami i wojskowy płaszcz. Nie miał żadnych ciagotek do zbytku i korzystania z uciech życia. Mieszkał na Kremlu, w małym, skromnie umeblowanym mieszkaniu, które niegdyś zajmowała służba pałacowa. Wówczas, gdy na przykład Kamieniew znalazł się już na samochodach i kazał przydzielić do swojej dyspozycji wspaniałego rollsroyce'a, Stalin jeździł potężnym lecz zwyczajnym francuskim autem (nawiasem mówiąc, dróg do jazdy samochodem nie było, praktycznie można było jeździć tylko po Moskwie, a z miasta dawało się wyjechać właściwie jedynie szosą leningradzką). Pieniądże, oczywiście, nie miały dla niego najmniejszego znaczenia, tak jak i dla innych bolszewickich przywódców. Mieli wszystko bez pieniędzy — mieszkania, samochody, przejazdy koleją, wczasy w kurortach itp. Jedzenie przygotowywano w stołówce Urzędu Rady Ministrów i dostarczano do domu.

Zwyczajne, stałe posiedzenia Biura Politycznego rozpoczynały się rano i kończyły w porze obiadowej. Członkowie Biura rozchodzili się i szli na obiad, ja zaś zostawałem, by sformułować i spisać ustalenia przyjęte w omawianych przy końcu obrad sprawach. Potem udawałem się do Stalina. Na ogół zaczynał wtedy obiad. Przeważnie oprócz niego siedziała jego żona Nadia, i starszy syn. Jaszka (z pierwszego małżeństwa Stalina). Gdy Stalin przejrzał notatki, wracałem do KC, by skończyć protokół.

Kiedy po raz pierwszy trafiłem do niego w porze obiadu, nalał mi kieliszek wina. Nie piję, towarzysz Stalin. — Co tam, kieliszek wina można; a dobre — kachetyńskie. W ogóle nigdy nie piłem i nie piję żadnego alkoholu. Stalin zdziwił się: No, za moje zdrowie. Odmówiłem wypicia nawet za jego zdrowie. Wiecej nigdy już mnie winem nie częstował.

Zdarzało się jednak często, że po wyjściu z sali posiedzeń Biura Politycznego Stalin nie szedł prosto do domu, lecz przechadzał się po Kremlu, kontynuując roz-



mowę z którymś z uczestników zebrania. W takich przypadkach, przychodząc do niego do domu, musiałem czekać. Poznałem wtedy bliżej jego żonę, Nadię Alilujewą, którą nazywałem po prostu Nadią. Nawet się nieco zaprzyjaźniliśmy.

Nadia w niczym nie przypominała Stalina. Była bardzo dobrą, porządną i uczciwym człowiekiem. Nie była ładna, ale twarz miała bardzo miłą, szczerą i sympatyczną. Choć mniej więcej w moim wieku wyglądała na starszą; początkowo myślałem, że jest starsza ode mnie o kilka lat. Wiadomo, że była córką petersburskiego robotnika-bolszewika Alilujewa, u którego w 1917 r., przed bolszewickim przewrotem, ukrywał się Lenin. Ze Stalinem miała syna, Wasylę (w owym czasie miał 5 lat), i urodzoną trzy lata później córkę, Swietlanę (...).

Reasumując, trzeba stwierdzić, że Stalin był człowiekiem amoralnym, o skłonnościach przestępczych. Uważam jednak, że przypadek Stalina nasuwa inne, o wiele poważniejsze pytania: dlaczego taki człowiek mógł ujawnić wszystkie swe zbrodnie, skłonności i bezkarnie wymordować w ciągu ćwierćwiecza miliony ludzi? Niestety, odpowiedź może być tylko jedna. Stalina stworzył i wydzwignął system komunistyczny. System komunistyczny — to wszechogarniające i nieustanne rozpalać nienawiści i nawoływanie do niszczenia całych grup i klas społecznych. To ten system tworzy klimat, w którym ludzie sprawujący władzę całą swą działalność widzą jako walkę z wrodzonymi wrogami — klasami, z kontrrewolucjonistami, z sabotażystami. Tłumacząc wszelkie niepowodzenia tego bezsensownego i nieludzkiego systemu jako efekt knozań i spisków wymyślonych wrogów, wzywają nieustannie do represji, niszczenia i dławienia (wszystkiego: myśli, wolności, prawdy, ludzkich uczuć). Na takiej glebie ludzie pokroju Stalina mogą rozkwitać jak kwiaty w cieplarni.

Kiedy ludzie na szczytach władzy dochodzą do przekonania, że w takiej sytuacji sami zaczynają żyć z pistoletem przystawionym do skroni, decydują się nieco odkreślić śrubę, ale nie za bardzo, uważnie przy tym bacząc, by to, co jest podstawą systemu, pozostało nienaruszone. Tak właśnie było po śmierci Stalina.”

edn.



Rola wycieczek szkolnych

Wycieczka! Ileż pięknych przeżyć i wspomnień kojarzy się każdemu z nas z tym słowem. Kryje ono w sobie jakąś tajemniczą siłę i obojętnie na wiek wywołuje zawsze zmianę w rytmie bicia serca. Wycieczka wytwarza wśród uczniów pewną atmosferę podniecenia, oczekiwania na wielką przygodę, na spotkanie z czymś nowym, nieznanym, wyzwala pragnienie poznania rzeczy, o których dowiedzieli się oni w klasie. Zetknięcie się z oryginalnymi wykopaliskami archeologicznymi, grobami, naczyniami i narzędziami pracy naszych przodków, zwiedzanie wspaniałych zabytków architektury i sztuki czy też pobyt w miejscu upamiętnionym walką o narodowe wyzwolenie — stanowią dodatkowe źródło wiadomości oraz dostarczają pięknych przeżyć i wzruszeń.

Młodzież żyje dla przyszłości, dla kontynuacji dziejów i tworzenia nowych dóbr konsumpcyjnych i kulturowych. Ale ażeby wychowywać dla przyszłości, trzeba uprzednio przyszłość tę starać się zrozumieć, przeniknąć, uchwytać jej przewidywany sens i kierunek rozwoju. Warunkiem wnikięcia w rozległe horyzonty niewiadomego jutra jest właśnie poznanie jego genezy, zrozumienie przemian, kierunków i tem-

w nauczaniu historii

pa rozwoju człowieka i społeczności. Trzeba zatem z tą przyszłością zetknąć się wcześniej i oswoić, trzeba ją nawet w pewnym sensie przeżyć. Opanowywanie werbalne, pamięciowe, skrótowe i schematyczne tego wszystkiego, co działo się kiedyś, wydaje się być niewystarczające, niepełne, zwłaszcza w obliczu realiów spotykanych w życiu na każdym niemal kroku.

Wysnuwanie wniosków z przeszłości dla teraźniejszości i przyszłości, bez poznawania historii, bez wczytywania się w jej pomniki i treść dokumentów gęsto rozrzuconych w krajobrazie, to chyba — jakby powiedział H. Pestalozzi — owoce przedwcześnie spadłe z drzewa.

Spółczesność bez dziejów, to jak człowiek bez życiorysu. Ale cóż to jest historia?

Rozmaite były poglądy na nią i rozmaite też były odpowiedzi na pytania — czym jest historia w swej istocie? Interesujące zatem będzie przypomnienie, co mówi o niej sami historycy?

Liczną już rzeszę historiozofów zajmujących się tą problematyką

podzielić by można na trzy podstawowe grupy.

Niektórzy spośród nich starają się przekazać jedynie wiadomości; referują to, co działo się niegdyś, zaś w ich relacjach historia jest tylko opowiadaniem o przeszłości (Herodot). Dla innych historia ma być mistrzynią życia, która powinna uczyć, czego w bieżącym życiu należy wystrzegać się, co naśladować poprzez wskazywanie historycznych powiązań przyczyn i skutków (Tucytydes). Oba ukierunkowania jednak przez długie wieki nie zaspokajały potrzeb i nie odpowiadały pokładanym w nich nadziejom; nie odpowiadają zwłaszcza nadziejom człowieka współczesnego.

Dopiero pod wpływem filozofii nowożytnej i zdobyczy nauk przyrodniczych zrodził się i rozwija kierunek trzeci — genetyczny. Stało się to wtedy, kiedy zagadnienie rozwoju wzbudziło w XIX stuleciu zainteresowania nie tylko przyrodników, ale równocześnie poczęło nurtować humanistów. I w historii zaczęto dopatrywać się praw dziejowych owego rozwoju, zaś otwartą — dawniej nie czytana — księgą okazały się zachowane starożytne dokumenty kultury materialnej i sztuki — realia, zabytki. Owe relikty stały się przedmiotem szczególnie klarownie wyjaśniającym naturalny, logiczny, konsekwentny rozwój dziejów świata, a w nim i człowieka.

Sposób przyswajania tej bliższej i dalszej przeszłości jest jednak różny zależnie od wieku człowieka: inny u dojrzałego intelektualisty, inny zgoła u młodzieży, a ona to przecież jest podmiotem wycieczek.

Istota rzeczy w przekazywaniu dziejów leży w tym, aby nie

zrobić trzy dalsze ku przodowi; czasy minione, to jak znane w przyrodzie parcie korzeniowe przy krążeniu soków w roślinie, zwłaszcza podczas wzmoczonej młodzieńczej wegetacji wiosennej; samo ssące działanie listowia, podobne do mirażu przyszłości, nie zawsze wystarcza. Obie siły powinny działać równocześnie, harmonijnie i zgodnie.

Problem pedagogiczny leży nie w tym, czy należy korzystać z zabytków w pracy szkolnej i podczas wycieczek, ale w tym, jak to należy robić.

Młodzieży nie wystarczy przedstawianie dziejów zawarte w abstrakcyjnych, pojęciowych tylko analizach i wnioskach, sądach czy syntezach. Powinna ona poznawać historię raczej na podkładzie zmysłowo-uczuciowym, obrazowo, wyobraźniowo; werbalizm nie zaspakaja chłonnego umysłu i nie wyczerpuje skali możliwości oddziaływania, zwłaszcza że na poparcie też historycznych istnieje bogaty zestaw oryginalnych, poznawalnych dokumentów kultury.

Ale spoglądanie w przeszłość z dzisiejszego punktu widzenia, wczuwanie się w epokę i ocenianie jej w tym aspekcie stwarza między przedmiotem a podmiotem pewien dystans i perspektywę dziejów, zaś zmysł historyczny u obserwatora poważnie ułatwia ocenę rzeczy i zjawisk nie tylko odległych w czasie, ale i współczesnych oraz tych, które nadejdą.

Przy kontakcie młodzieży z relikdami przeszłości chodzi również i o to, aby mogła ona choćby skrótowo, ale autentycznie i możliwie wiernie, przeżyć to, co przeżywały pokolenia minione. Przeżyć tak, aby ludzi sprzed lat poznać i zrozumieć, na podstawie odczuć czy intuicji; boć zarodkiem czy sprężyną przyszłego postępowania, późniejszej działalności, dążeń i czynów będą raczej nie wyrozumowane systemy historyczne, ale wyobrażenia i właśnie odczucia.

Prawdą jest, że życie wśród dóbr kultury i sztuki wyzwala bogactwo ludzkiej inwencji, inspiruje i uczy bystrości spojrzenia, otwiera świadomość na rzeczy nowe, nieznanne, nieoczekiwane, wzbudza refleksje i staje się pewnym sojusznikiem idei wychowania otwartego umysłu, bogatej wyobraźni. Ale równocześnie prawdą jest chyba i to, że przy niewłaściwym kierowaniu młodzieżą zjawisko przyjąć może i kierunek odwrotny, czyli jest w stanie owej gotowości duszy nie pobudzić, lecz zagłuszyć ją i zamknąć. I z tym odpowiedzialny za swoją pracę pedagog musi się liczyć.

EWA SMIECH

Rzadko kiedy rodzice przyznają się do faktu, że rozrabiają nie tylko dzieci cudze, ale... i ich własne również. Przypatrzmy się — dla przykładu — takiej oto scenie: Spokojny dzień w parku. Słoneczko świeci, ptaszki ćwierkają, dzieci bawią się na zjeżdżalni, matki i babcie — drzemią. Nagle — krzyk stuknięcie łopatką i rozlega się donośny płacz. To przyszedł mały Maciek i spokojnie przysnął. „Nie bij dziewczynki, bo ją boli” — matka Maćka. „Jak ją jeszcze raz uderzysz — zabiorę ci łopatkę” — matka dziewczynki. „Coś mi się wydaje, że przydało by mu się dobre lanie” — jakaś babcia. „Gdyby lanie byłoby rozwiązaniem...” — myśli matka Maćka.

Kto się boi małego zabijaki?

Doskonale wie, że inne dzieci nie przepadają za jej synkiem. Ma dopiero dwa latka, ale jest niezłym „zabijaką”. Wszystkie swoje problemy rozwiązuje gryząc, bijąc i popychając. Matka nie wie, jak sobie z tym poradzić. Jest pewna tylko jednego: wymówki i klapsy sprawiają, że Maciek zachowuje się jeszcze gorzej. No i co z takim dzieckiem ma zrobić?

Jeśli postaramy się zgłębić charakter małego łobuziaka — równie dobrze może to być mała dziewczynka — w większości przypadków zetknijemy się z tym, co psychologowie nazywają „nadmiarem charakteru”. Dziecko jest bardzo wrażliwe, aktywne (ciągle musi być czymś zajęte) i impulsywne (działa bez zastanowienia się). Połączenie tych trzech cech sprawia, że trudno mu panować nad impulsami, zwłaszcza we wczesnym dzieciństwie. Jego odruchy nie są jednak wyłącznie wyrazem agresji. Często bije inne dzieci, aby dać upust przepelniającej go energii, albo — żeby zwrócić na siebie uwagę. Zwykle ten „mały łobuziak” jest bardzo dobrze rozwinięty pod względem psychomoto-

rycznym: biega, skacze, wspina się z dużą zwinnością i pewnością, działa nie myśląc o konsekwencjach. Ten brak umiaru może kłopotać rodziców. Gdy na niego krzyczą — wydaje się być bardzo poruszony, naprawdę cierpi, nawet przesadnie, ale skutek wymówek jest prawie żaden: na nowo rozrabia. Nie znaczy to wcale, że nie chce być posłuszny. Przywiązuje ogromną wagę do tego, co myślą o nim rodzice, ale wrodzona impulsywność pcha go do działania, nie zostawiając czasu na zastanowienie. Jest w głębi duszy dzieckiem wesołym, lubiącym się bawić, obdarzonym poczuciem humoru i fantazją. Ma żywą, błyskotliwą inteligencję. Natychmiast wynajduje usprawiedliwienie swego zachowania, często mijając się z prawdą (to tamte dziecko go zaczepiło, zaczęło pierwsze) — co przypadkowy obserwator może traktować jako dowód złośliwości, bezwzględności czy zwykłego kłamstwa.



Nie dajmy się zwieść tym pozorom: nadmiernie aktywny charakter łączy się zazwyczaj z dużą szczerością. Mały zabijaka nie powoduje się złością, jego napady gniewu przeplatane są przypływami czułości. Inne dzieci szybko rozszyfrowują jego zachowanie i często same szukają z nim kontaktu, chociaż później — co jest naturalne — skarżą się na szturchańce. Charakter dziecka to jedna sprawa, istotne jest to, jaki kierunek nadamy jego zachowaniom. Dwuletni łobuziak tkwi jeszcze w pulapce swoich impulsów, na zachowanie pięcioletka wpływa już w znacznym stopniu wychowanie. Trzy błędy wychowawcze dorosłych umacniają negatywne cechy jego charakteru.

Pierwsza z tych trzech cech to nadopiekuńczość. Choćby ro-

dzice karcili dziecko, wyczuwa ono, że w gruncie rzeczy może robić to, na co ma ochotę. Rodzice za bardzo boją się odmówić mu czegoś sądząc, że będzie cierpiało lub wpadnie w złość. Dziecko szybko uczy się, że kilka łez lub głośniejszy krzyk wystarczy, aby mogło postawić na swoim. W takiej atmosferze ciężko jest nauczyć się kontrolowania swych impulsów.

Po drugie: ludzie zawsze chętnie wynajdują „kozła ofiarnego” dla wyjaśnienia tego, co źle funkcjonuje. Nasz mały zabijaka, ze względu na swą nadpobudliwość, łatwo staje się celem wszystkich kąśliwych uwag. Często słyszy o sobie zdania w rodzaju „To dziecko mnie zamęczy”, „On przeszkadza całej klasie”, „wszędzie, gdzie się pojawi, wywołuje zamieszanie” itp. To sprawia, że czuje się odrzucony, staje się coraz bardziej niezrównoważony i niepewny siebie, a w konsekwencji — bardziej agresywny.

Rodzice takich dzieci mają tyle samo powodów do dumy, co wszyscy inni. Ich dziecko nie jest przecież wcale gorsze, a jedynie — bardziej pobudliwe. Ma mnóstwo zalet i trzeba mu tylko trochę pomóc, aby zatriumfowała nad jego niekontrolowaną impulsywnością. Jest spontaniczne, wiadomo, co myśli i co czuje. Objawia olbrzymią żywotność, gdy sądzimy, że jest już całkowicie wyczerpane, zaskakuje nas energią. Jest aktywne i twórcze, gdy zajmie się czymś, co je naprawdę interesuje, skupia się nad tym przez długi czas. Jest też bardzo wrażliwe: musi czuć, że jest kochane, akceptowane, pieszczone; jeżeli jest rozumiane — staje się czułe, delikatne, miłe, bardzo serdeczne wobec innych.

Wszystko to bardzo ładnie — pomyśli zapewne niejedna matka, ale co ja mam zrobić, jeżeli moje dziecko zaczyna bić inne, a ja kolejny raz muszę wysłuchiwać głosu tzw. „opinii publicznej”? Żeby uniknąć odrzucenia zabijaki przez inne dzieci, najlepiej, jeśli matka sama zainicjuje jakąś zabawę, w której mogą uczestniczyć wszystkie dzieci. Może przynieść z domu garnuszki, aby dzieci bawiły się w gotowanie, czy po prostu — poczęstować je herbatnikami, słonymi paluszkami czy temu podobne. Pewna matka wpadła na wspaniały pomysł — przyniosła ze sobą kukielkę i zaczęła zabawę w „Nadchodzą czarownica”. Jej mały rozrabiaka, dzięki swej sile i sprawności fizycznej bronił innych przed czarownicą — wydał się więc im miły. Czasem jednak nie ma innego wyjścia i jesteśmy zmuszeni skrzyknąć łobuziaka. Uczynmy to, zawsze jednak najpierw dajmy mu okazję do wytłumaczenia swojego postępowania. I koniecznie — unikajmy powtarzania w rodzaju „No, i znowu się źle zachowujesz!” Wywołuje to tylko niepokój i umacnia zachowania, których właśnie chcemy uniknąć.

Niektórzy rodzice, chociaż są przekonani że w zasadzie nie należy bić dzieci, w przypadku takich właśnie łobuziaków tracą cierpliwość i uważają, że klapsy są tu usprawiedliwione. Mylą się jednak, gdyż ta dorosła logika jest zupełnie niezrozumiała dla dziecka. Ze strony rodziców mały zabijaka musi czuć pełną akceptację, musi wiedzieć, że zajmuje ważne miejsce w rodzinie. Z czasem zobaczy niedogodności, wynikające z załatwiania wszystkich spraw „pięścią” i stanie się bardziej opanowany. Zanim jednak tak się stanie, trzeba uzbudzić w niego cierpliwość, często nie zauważając nagannego postępowania naszej pociechy, a starać się rozwijać w nim cechy dobre. Rodzice muszą starannie pracować nad tym, aby czuł się dzieckiem dobrym i mógł być z siebie zadowolony. Sprawi to że i on będzie chciał nam ofiarować coś dobrego, dobrego od samego siebie.

Opr. EL

Jak ja nie lubię „miotet”!



codziennie
— **dzieciom**
TYGODNIK KATOLICKI

— Ludzie! Jak ja nie lubię listopada! — oświadczyła stanowczo Kaśka. — Nie można wyjść, jak człowiek, na ulicę. Ciągłe tylko uwagi: „załóż czapkę”, „gdzie twój szalik” itp. Mam tego dość!

— A co? Szkoda ci fryzurki? — zauważył Robert. — Dziewczyny tylko jedno mają w głowie — o, pardon! — na głowie! — zaśmiał się drwiąco.

— No, wiesz! — Kaśka była najwyraźniej oburzona. — Przygadał „kociół garnkowi”. To powiedz, dlaczego i ty nie nosisz czapeczki?

— Po prostu, nie lubię! — odpowiedział dumnie Robert.

— A czyżby nie dlatego, że twoje usztywnione włoski mogłyby się nieco przygnieść? — zaśmiała się Kaśka.

— Widać od razu, że się nie znasz — zauważył spokojnie Robert. — Teraz żel nie jest na czasie. Teraz, dziewczyno, obcina się włosy króciutko! Zapamiętaj to sobie!

— Dobra, dobra. Znalazł się super model! — obruszyła się Kaśka. — Swoje rady zachowaj dla Adrianny!

— I słusznie! Bardzo lubię, jak dziewczyna ma długie włosy — i to porządnie uczesane.

— A może w warkoczyki, staroświecki „menie”? — zapytała przymilnie Kasia.

— Chociażby i w warkoczyki, moja „miotetko” — odpowiedział z czarującym uśmiechem.

— O! Idzie właśnie twoje szczęście. Cześć!

Kaśka pomachała jeszcze z daleka Robertowi i zniknęła za zakrętem schodów. Tymczasem do Roberta podeszła wysoka, szczupła dziewczyna z ciemnymi włosami związanymi „w koński ogon”. Nastroszona, jasnowłosa fryzura Kaśki utrwalona lakierem, jeszcze raz stanęła Robertowi przed oczami. „Miotetka” — powiedział sam do siebie.

— Przepraszam, nie usłyszałam, co powiedziałaś? — spytała Ada.

— Nic, nic... roześmiał się Robert. — Tak tylko, sam do siebie. Cześć, Ada!

— Cześć! — „koński ogon” zakolysał się w takt powitania.

— Ada, powiedz, jak ty to robisz, że masz takie fajne, lśniące włosy? — spytał nagle poważnie chłopak.

Ada z zakłopotaniem pogładziła włosy.

— Nie podoba ci się moje uczesanie — stwierdziła. — Dziewczyny też mi to mówią. Ale ja się tak przyzwyczaiłam do tej fryzury, że nie mogę... nie mam odwagi pójść do fryzjera.

— Do fryzjera!? Chcesz obciąć włosy? Takie włosy!

— Ojej, bez przesady! Włosy, jak włosy, zupełnie normalne, nic takiego!

— Dziewczyno, masz wspaniałe włosy! Zobacz, wszędzie masz to samo — lakierowane „miotły”, cienkie, nastroszone włosy! Czy to ci się podoba?

— Robert! Jak możesz! Przecież dziewczyny mają bardzo fajne włosy, tylko...

— Tylko co? Tapirek, lakierek, albo i cukierek, i wychodzi „miotetka”. Tak, właśnie „miotetka”!

— Ależ to jest modne, Robercie!

— Może i modne, ale nieładne, skarbie. Włosy są szare, nijakie. Gdybym był dziewczyną, nigdy bym nie postawił sobie na głowie „szopy”! Wiesz?!

— Robert! — Ada przyjrzała się uważniej koleźce. — Ty jesteś jakiś niedzisiejszy!

— Może i masz rację, Adka. Ale ja tak nie lubię „miotet”!!!

MALGORZATA KĄPIŃSKA

Eugenia Kobylińska



(76)

— My będziemy się stawiali. To najlepszy system — uzupełnił Chrulewicz.

Chłopcy podnieśli głowy. Oni właśnie chcieli się „postawić”. Zaraz w tej chwili. Żeby uratować w sobie wiarę w swój sukces, w swoje własne siły przeznaczone do rzeczy wielkich. Właściwie po co dają się odciągać od Madagaskaru?

— To nasza wina, że wszystko się nie udaje! Nie umiemy organizować — wyjaśniał rozważny Weltowski. — Krzyczymy: hurra! hurra! i zrzucaamy odpowiedzialność na głowy kilku. A oni też nie wiedzą co i jak. My krytykujemy, kpimy z nich i jeszcze cieszymy się, kiedy im się nie uda. A żebyśmy tak wszyscy, ale to wszyscy razem pracowali...

— I tak nie odkrylibyśmy na poczekaniu nowego ładu. Ależ to jest komedia — słowo

dają. Można o wielkich czynach zacząć myśleć już w I-ej klasie — tu przyznają rację Markowi — ale nie podobna wierzyć, że się w pierwszej klasie wszystkiego dokonano — rezonował Karafka. — A wy tak łapu — capu — już na wakacje chcielibyście być na Madagaskarze?

A pewnie, że się tak chłopcom zdawało. A teraz? Znowu westchnienia. Smutek zawisł pod pochylonymi głowami. Smucili się i Lolek i Niustek i Zbyszek i Mirek i nawet Olek Żynik.

Daleka wyspa stała chwilę przed ich oczyma w pełnym słońcu na oceanie granatowozielono-błękitnym i srebrzącym się od piany.

Długie liście nieznanych palm migotały w blasku, niby jedwabne wstążki.

Nad białymi murami nieznanego miasta unosił się różnojęzyczny pogwar, melodia dalekich światów, nawoływanie przygód — zew obcych ludzi — dzwonienie strun osobliwych instrumentów. Łagodny lemur związał się u nóg Kazika. Więc ten go przytulił do piersi, a nieznaną zwierzątko obliżało mu policzek na pożegnanie.

Wyśnione strzępiasto-czerwone kwiaty zapachniały Zbyszkowi raz jeszcze, a Lolek i Brzuszek dojrżeli w oddali kolorową służbę z tacami, pełnymi kuszących owoców. Cicha i rzewna melodia tęsknoty płakała nad oceanem, gdy wiatr zakolebał wyspą, jak rozbitym okrętem i wyspa zaczęła pogrążyć się w fale. Chłonał ją i kolysał ocean młodzieńczej wyobraźni, aż znikły ostatnie jedwabiste wstążki zatopionych palm... Czy wypłynie kiedy spod fali zatopiony Madagaskar? Ha. Zobaczmy. Tymczasem chłopcy pragną się „postawić”, odegrać się, zemścić się, więc powiadają — jeden — drugi — trzeci.

— No, pójdźmy więc zobaczyć. Do tych... tam... no, co to wiecie.

— Im prędzej, tym lepiej.

— Jak się nam nie podoba, to za nic.

— Tylko bez wychowawcy. Bez nikogo. Bo zaraz nam mówią: tak i tak.

— Poradz Żynik, baranie Boży. Gdzież tu Majowa ulica?

— Pięciu ich wie, gdzie to jest.

No i wyszło ni w pięć, ni w dziesięć.

Poszli chłopcy. Niecała klasa. Inni rozgoryczeni udali się do domu. Jak nie Madagaskar, to życie im niemiłe i koniec. Żeby nie Boże Narodzenie, to powiesiliby się z rozpacz. Ale że choinka, wigilia i tak dalej, to jeszcze sobie pożyją. Jednak na to cmentarne straszdyło patrzeć nie myślą. To do Jadwisi tak pili. No, trudno. Musieli się wyzłościć.

Na ulicach prószło śniegiem i w tym prószeniu śpiewało niedostrzegalne jeszcze Boże Narodzenie. Dziś szósty grudnia. To już niedaleko. Na tę myśl rozluźniła się obręcz smaku ścisnąca serce chłopców. Znowu uśmiechy. Znowu dowcipy. Boże drogi, czy oni to karawanarze?

W tym czasie w domu Krzeczków zmieniło się to i owo na lepsze. Z początku i matka i Krystek kazali Jadwisi po kilkakroć opowiadać — co zaszło w domu podczas ich nieobecności. Opowiadanie Jadwisi było jak zwykle pełne zaufania i entuzjazmu, toteż nie podobna było temu wierzyć. Udano się do sąsiadów. Ci, owszem, wylegali wtedy na widok karetki na podwórzu i asystowali przy wnoszeniu szewca do jej wnętrza. Stwierdzili z całym przekonaniem, że w szewcu widocznie, „zapaliła się wódka” i że wyglądał on ledwie żywy.

— Pewnie nie wygrzebie się z tego. A wam, sąsiadko, lepiej będzie bez męża. Życie zacznie po ludzku — powiedziała ta i owa.

Ale żona szewca poczuła nagły żal. Pamiętała czasy, gdy ten mąż był do ludzi po-



Rozmowy z Czytelnikami

Zupełnie innej niż dotychczas poruszane kwestii dotyczy odpowiedź dla naszej Czytelniczki — p. Zofii W. z Gliwic — która w przesłanym do Redakcji liście pisze między innymi:

„Staram się zawsze wypełniać wszystkie obowiązki religijne. Nie zaniedbuję także codziennej modlitwy. Jednak gdy się modlę, ustawicznie Boga o coś proszę. Ostatnio (podczas kazania wygłoszonego przez przyjeźdnego kaznodzieję) usłyszałam, że modlitwa taka nie może podobać się Bogu. Nasunęło mi się więc przypuszczenie, że do tej pory widocznie źle się modliłam, skoro wielokrotnie prośby moje nie zostały wysłuchane... Niestety, niezbyt wiele wiem o modlitwie. Bowiem nasz duszpasterz — w swoich wystąpieniach niedzielnych — bardzo często mówi o rzekomej dyskryminacji ludzi wierzących w Polsce, nakazuje publicznie ma-

nifestować wiarę przez udział w różnych pielgrzymkach oraz bardzo często karci nas za brak ofiarności na potrzeby parafii i diecezji. Nigdy jednak nie słyszałam, by w kazaniach swoich poruszał problem modlitwy...

Przed dwoma laty kupiłam w kiosku tygodnik „Rodzina” i przeczytałam go dokładnie. Spodobały mi się zamieszczone w nim artykuły; i to zarówno dotyczące treści religijnej, jak i poruszające tematy natury społecznej. Byłam przyjemnie zaskoczona rzeczowymi odpowiedziami Duszpasterza na pytania czytelników. Dodało mi to odwagi. Postanowiłam więc i ja zwrócić się do Was z moimi trudnościami odnośnie modlitwy w nadziei, że zechcecie udzielić mi wyjaśnień. Za tę przysługę już teraz serdecznie dziękuję”.

Szanowna Pani Zofio! Na temat modlitwy pisaliśmy już na łamach naszego tygodnika wielokrotnie i przy różnych okazjach. Niemniej jednak postaram się zadośćuczynić Pani prośbie. Dlatego też — w sposób możliwie przystępny — przypomnę, co każdy chrześcijanin powinien wiedzieć o modlitwie.

Modlitwa — jak to określają teologowie — jest to pobożna rozmowa człowieka z Bogiem. Wielu ludzi sądzi jednak błędnie, że modlitwa polega na mechanicznym recytowaniu wyuczonych na pamięć lub znajdujących się w modlitewniku formułek. Tymczasem można zupełnie dobrze modlić się w duszy, nie wypowiadając ani jednego słowa. O tak pojętej modlitwie wspomina Chrystus w rozmowie z Samarytanką, mówiąc do niej: „Duchem jest Bóg, a ci, którzy mu cześć oddają, winni mu ją oddawać w duchu i w prawdzie” (J 4,24). Jeżeli chcemy szczerze przez modlitwę oddać cześć Bogu, każda modlitwa jest dobra. Jednak-

że, w zależności od celu w jakim ją przed tron Boży zanosimy, może ona być więcej lub mniej doskonała.

Winniśmy się modlić w pierwszym rzędzie dlatego, aby Boga uwielbić, czyli oddać Mu hołd jako Stwórcy i Panu naszemu dla Jego wielkości i doskonałości. Taką modlitwą — jako zupełnie bezinteresowną — jest najbardziej miła Bogu. Taką formą modlitwy są spotykane często w liturgii słowa: „Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków”. Modlitwą uwielbienia są również słowa znanej pieśni kościelnej:

„Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki!”

Modlimy się również dlatego, aby podziękować Bogu za łaski otrzymane. Z uwagi na nasze słabości i ułomności, tak wiele zawdzięczamy naszemu Ojcu niebieskiemu. Zwraca na to uwagę apostoł Paweł, gdy pisze: „Cóż masz, czego nie otrzymałbyś?” (1 Kor 4,7). Przykład takiej właśnie modlitwy dał uzdrowiony z trądu Samarytanin, który wróciwszy do Chrystusa, „padł na twarz do nóg jego, dziękując mu” (Łk 17,16). O obowiązku tym nie pamiętało jednak dzie- więciu Żydów.

Bardzo często modlimy się również w tym celu, by przeprosić Boga za popełnione grzechy. Stając bowiem przed obliczem Pana przypominamy sobie, że nie zawsze wypełnialiśmy Jego wolę. Dlatego mamy obowiązek przeproszać Boga za nasze grzechy. Przykładem modlitwy przebiegającej były słowa wypowiedziane przez ewangelicznego celnika, który modląc się w świątyni, „nie śmiał nawet oczu podnieść

ku niebu, lecz bił się w pierś swoją, mówiąc: Boże, bądź miłościw mnie grzeszemu” (Łk 18,13). I była to modlitwa skuteczna. Bo — według zapewnienia Zbawiciela — „ten (celnik) poszedł usprawiedliwiony do domu swego, tamten zaś nie” (Łk 18,14a).

Modlimy się wreszcie również dlatego, aby Boga prosić o łaski potrzebne duszy i ciału. A tak wiele codziennie mamy potrzeb. Na pewno nie jest to modlitwa zła, skoro — podczas kazania na górze — Chrystus zachęca do niej swoich słuchaczy, mówiąc: „Proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie: „O cokolwiek byście prosili Ojca w imieniu moim, da wam” (J 16,23). Zatem, stosownie do zachęty Jezusa Chrystusa, nie tylko możemy, ale nawet powinniśmy prosić Boga o wszystko, czego nam potrzeba.

Nie od rzeczy będzie tutaj przypomnieć, że na pewno miła jest Bogu modlitwa indywidualna. Większą jednak wartość i skuteczność ma przed Bogiem modlitwa społeczna — w rodzinie, w świątyni — wespół z całą parafią. Bowiem według zapewnienia Syna Bożego, „gdzie są dwaj lub trzej zgromadzeni w imię moje, tam jestem pośród nich.” (Mt 18,20). Wówczas bowiem wespół z nami modli się Jezus Chrystus. Jego zaś modlitwa na pewno zostanie wysłuchana.

Jeżeli jednak nie zawsze od razu wysłuchuje Bóg naszej modlitwy to może dlatego, iż chce, abysmy przedstawiali Mu nasze potrzeby jeszcze gorliwiej.

Łączę dla Pani i wszystkich Czytelników pozdrowienia w Jezusie Chrystusie, Zbawicielu naszym.

DUSZPASTERZ

Uroczystości religijno-patriotyczne w Studziankach Pancernych

dokończenie ze str. 8—9

bratobójczych wojnach, za przekroczenie przykazania Bożego: „Nie zabijaj”. Jako chrześcijanie jesteśmy również zobowiązani do wskazania tym, którzy to Boże przykazanie naruszyli i naruszają, właściwej drogi zadośćuczynienia za popełnione zbrodnie wobec całej ludzkości.

Zgromadzeni w Studziankach Pancernych, zdajemy sobie sprawę, że nie posiadamy żadnej władzy wykonawczej, lecz możemy i musimy apelować do sumień ludzkich, aby już nigdy więcej nie powtórzył się Wrzesień, aby już nigdy więcej nie było wojny. Mamy pełne prawo i obowiązek demonstrowania i

śmiałego świadectwa, że jesteśmy także odpowiedzialni za jutro świata, za jutro przyszłych pokoleń. Pokój dla rodzaju ludzkiego, to treść, która winna być przedmiotem naszych publicznych wystąpień, zechciejmy wspólnie wykorzystywać nasze pozycje społeczne, nasze talenty do przekazywania naszego uzasadnionego niepokoju o zachowanie życia, w nadziei, że to winno połączyć wszystkich ludzi w twórczym przedsięwzięciu, jakim jest budowanie i umacnianie pokoju. Naszą ufność w pozytywne wyniki podtrzymuje świadomość, że wielcy politycy muszą się liczyć z ruchem antywojennym, który ogarnia już cały świat.

Z tym wezwaniem wracacie wszyscy do swoich codziennych obowiązków.

**Czcigodni Księża Biskupi,
Przewielebni i Wielebni Księża,
Siostry i Bracia**

Wiem, że przybywając do Studzianek Pancernych ponieśliście wielki trud podróży. Z głębi serca dziękuję Wam wszystkim za Wasze poświęcenie i za Wasz udział w dzisiejszych uroczystościach.

Składamy szczerze podziękowanie Panu Prezydentowi Wojciechowi Jaruzelskiemu za przesłanie współorganizatorom i wszystkim uczestnikom uroczystości w Studziankach Pancernych serdecznych pozdrowień.

Dziękujemy Ministrowi Obrony Narodowej gen. armii Florianowi Siwickiemu za okazaną pomoc w organizacji naszej uroczystości przez włączenie ceremoniału wojskowego.

Dziękujemy także obecnemu tutaj Panu Generałowi Jaroszowi oraz oficerom i żołnierzom Ludowego Wojska Polskiego.

Dziękujemy Wam wszystkim. Wspomniomym z okazji 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej i refleksji nad przyszłością niech dodadzą sił i nadziei słowa psalmisty Pańskiego: „I z głębin ziemi znowu nas wyprowadzisz. Rozmnożysz dostojność naszą, i znowu nas pocieszysz”.

Na zakończenie uroczystości ks. dziekan dr Tomasz Wójtowicz odczytał „Apel Kościoła Polskokatolickiego do wszystkich ludzi na świecie w sprawie pokoju”.

(Tekst apelu publikujemy na str. 8—9)

Ks. R. DĄBROWSKI

patrzność Boża nie zbadana, trzeba się z nią pogodzić...

Pociesza ją, tuli płaczącą, sam do głębi przejęty jej nieszczęściem. Czuje jej duszę piękną, wrażliwą, pełną poświęceń. Czuje serce jak kryształ, zdolne do największych uniesień, dobre, anielskie. Wie, że to serce od dziecka nie zaznało rodzicielskiej miłości, że tego serca usta matczyne nie ogrzały, nie wprowadziły w świat i nie dały mu hartu. Nic więc dziwnego, że tęskniło za ciepłem i dziecięcą pieśczęcią, że głód miłości wrósł w nie wprost organicznie. Aż przyszła chwila, wrodzonego ocknięcia tego serca, przyszło orędzie porywające w krainy nie przeżywanym dotąd wzruszeń, oślepiające swoim blaskiem i czarem, potężne, żywiołowe i nie zwalczane. Przyszło, i uderzyło weń jak piorun, roznieciło w nim pożar oraz wzięło w orkan szalejących płomieni. Pierwszy raz w życiu ktoś je do piersi tulił i dał mu odczuć szczęście czułe, pieściwe słowa i ufność w szczęście wykorzystał. Nieświadoma zła i zdrady nie przeczuła zasadzki, nie mogła się oprzeć pokusie pełnej oszalałego czaru, musiała ulec. Ale żyła w ufności, w dziecięcej wierze w szczęście i w przysięganą miłość. Żyła radością i tęsknotą i swoim powołaniem. Aż oto teraz z ócz spada jej zasłona i odsłania rzeczywistość. I co najbardziej zastanawia staruszką, że — mimo zdrady i zawodu, pomimo opuszczenia — w sercu tego dziewczęcia zostaje szczęście inne, żywsze, wznioślejsze, świadczące o jego nieskażonej wartości, to szczęście macierzyństwa. Macierzyństwa! Co nie rozpacza i nie pomstuje, nie szuka zbrodniczego ratunku, ale się godzi z nim i z losem, godzi bez skargi. Ten fakt niezwykle zdumiewa księdza i czczi w niej nakazuje godność prawej, nie spazzonej natury i poświęcenia. Nie usiłuje już tak, jak rano, nakłaniać ją do powrotu do domu, pojął, że tego z różnych względów w żaden sposób nie uczyni — lecz skupia myśli, aby znaleźć ratunek. Ma wpływy i stosunki, i czuje święty obowiązek,

że ten dziki zerwany kwiat należy pielęgnować i chronić przed zgubą. Całym sercem pragnie jej przyjść z pomocą. Wywarła na nim tak dodatnie wrażenie, tyle odczuł w niej dobra, że w krótkiej chwili przylgnał do niej, jakby już lata całe śledził jej piękną, osieroconą duszę.

Różne plany jęły podsuszać myśli, lecz jeden się wyróżnił i wybił na czoło. Nie mówi jeszcze o nim, jeszcze go składa i rozważa.

— Nie martw się, dziecko, Pan Bóg cię nie opuści — mówi z dobrocią. — Mówisz, że potrafisz pracować, dobrze... Cóż ty, Tereniu, umiesz?

Terenia wznosi na staruszką martwe oczęta.

— Umiejęm haftować, grać... Na przyszły rok miałam skończyć liceum, a więc mogłabym uczyć dzieci czytać i pisać — mówi naiwnie. — Gdybym tak mogła na wieś się dostać, do jakiejś szkółki... bo miasta ja się boję... Zresztą, wszystkiego bym się nauczyła...

— Mówisz, że umiesz grać — odzywa się staruszek, którego dobrotliwe oblicze ożywia się i rozjaśnia. — Na czym? Zapewne na fortepianie, prawda?

— Tak, gram dosyć dobrze. Uczęszczałam na najwyższy kurs prof. Donarelego.

— Ho, ho! To ślicznie. Ja tak lubię muzykę. Popatrz, jest pianino, może byś tak zagrała... Muzyka rozpędza smutek, koi... uciesza... Proszę, zagraj, Tereniu — prosi, powstając. — Są nuty...

Terenia widzi, że to egzamin. Bez wahania wstaje i podchodzi do otwartego instrumentu. Na pulpicie widnieje kompozycja ks. Józefa Surzyńskiego „Miserere”.

— Zagram to „Miserere”, dobrze?

— Owszem, owszem — chwytą szybko do brodziej.

Już lka i woła pełna błagania melodia.

Unosi się w przestworza z padołu płaczu, łez i rwie się z serca, z dna niedoli ludzkiej i opuszczenia.

— Akurat to ci zagrać przyszło — myśli staruszek, lecz ta myśl pierzcha wkrótce, bowiem ogarnia go zdumienie. Gra to niezwykła wielka, przejmująca artyzmem i głębią odtwarzania. Sam wiele muzykalny, wczuwa się zbożnie duszą w rozpaczliwe wołania jęczących tonów, pochyla kornie czoło przed wielkością artyzmu, ledwie uszom i oczom wierząc, że to gra owa nieszczęśliwa panienka, której miłość zdeptano, którą tak podle uwiedziono. I w tym wiotkim ciele żyje taka potęga, taki ogromny duch.

Patrzy w nią niby w cudowne objawienie — jakże jest teraz inna, jak cała zatonała w natchnieniu, jaką niezmierną się wydaje...

Serce świętego starowiny drży w zachwycie, widzi jej Boskie namazanie i nie może zrozumieć, nie może pojąć, że tę istotę tak ciężko Bóg doświadcza i tak urwistą prowadzi drogą. W głowie mu się nie mieści, że ją obdarzył takim ogromnym talentem i jak wiatr miota nią teraz...

Mimo woli ciśnie mu się pod czaszką jakis żal niewysłowiony, bluźnierczy, niemal wyrzut, lecz go odpędza, i modli się, i słucha.

— Wybacz mi, Panie Boże, nikt Twych wyroków nie ogarnie — szepce w duchu z pokorą. — Ty tej dziewczęce zginąć nie dasz, Twoja wola najświętsza ją uchroni...

Terenia kończy „Miserere” i zacerpnawszy tchu, poczyna nową grę. Gra szopenowskie preludia i nokturny, dźwięki padają jak grad, wiją się, mieszają, w szal wpadają tony wariacji.

Urywa i niespokojnie ogląda się za siebie.

Ksiądz jakby się przebudził. Wyciąga ręce i drepce ku Tereniu... Po ojcowsku przygarania ją do piersi, z oczu leca mu łzy...

— Jak to możliwe... jak to możliwe — szepce, na wskroś wzruszony i przejęty. —

edu

POZIOMO: A-1) w uchu wewnętrznym, B-8) przetarg, C-1) wódz złych duchów, D-8) sąsiadka Kenii, E-1) główna rzeka Birmy, F-7) „skórzany” rzemieślnik, H-1) egzotyczny huragan, I-7) odpadki ziemniaczane, K-1) pochodzenie, L-6) postać leku, M-1) styl w sztuce, N-6) nieodzowne w damskiej kosmetyce.

PIONOWO: 1-A) był siedzibą PKWN, 1-H) pisarz indyjski, laureat nagrody Nobla, 3-A) kojarzy się z Kacprem i Melchiorem, 4-K) ojciec bajki greckiej, 5-A) naturalny szlak wodny, 5-G) hałaśliwa muzyka pochodzenia murzyńskiego, 6-K) wyspa z laguną, 7-E) domek lodowy Eskimosów, 8-A) coś nietykalnego, świętość, 9-D) na grzbiecie dromadera, 9-I) tkanina na wyspy, 10-A) ryba w powijakach, 11-F) wielbiciel, 13-A) Sabala, 13-H) tytuł monarchy japońskiego.

Po rozwiązaniu odczytać szyfr (przysłowie ludowe):

(B-5, D-9, M-2, M-13, A-2) (I-8, B-9, H-6, N-7, B-12, K-2) (F-1, A-4, N-1, L-4, F-7, M-11, D-12, L-7) (F-12, B-1, G-5, H-4, D-8, C-13, N-10).

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 46”. Do rozlosowania: nagrody książkowe.

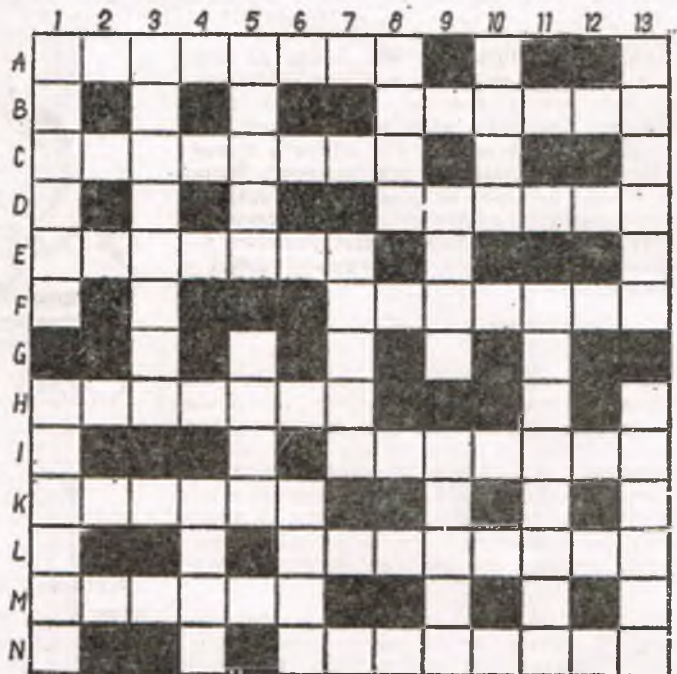
Rozwiązanie krzyżówki nr 35

„Zgoda silniejsza od samotnego słońca” (ordoskie).

POZIOMO: Belzebub, Jacina, Gabriela, metoda, ceratka, steward, sztanga, tatarka, sylaba, resekcja, Europa, kwadrans.
PIONOWO: bogacz, sąstek, labirynt, atol, Egipt, snob, arak, astat, blam, elew, tweed, ocet, adoracja, zajazd, balans.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 35 nagrody wylosowali: Anna Stawowy z Mikotowa i Wojciech Raczka z Makowa Podhalańskiego.
Nagrody prześlemy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 46



rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. Czardasza 16/18, 02-166 Warszawa. Telefon redakcji: 46-72-74; administracji: 46-72-74. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnie 650 zł, półrocznie 1300 zł, rocznie 2600 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych instytucji i zakładów pracy — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadszawcowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1650-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — od dnia 10 listopada do 1 kwietnia, i półroczną następną oraz cały rok następną; — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych. Druk PZGraf. Smolna 10/12. Nakład 15 000. Zam. 589. A-37.



PAWEŁ STAŚKO

Jej wiosna

Powieść - romans z 1929 r.

Miłość i smutek wciąż idą w parze...

(23)

Terenia dostrzega ją, jak wpada w bramę.

Chwyta ją nagle wyrzut, czy postąpiła dobrze.

Chociaż ani cień mściwości nie przebiegł jej przez duszę, przecież okłamać nie mogła. A może, może ratunkiem dla niej będzie? Może również, oślepiąca miłością, nie widzi tego, że stoi nad przepaścią?

— Boże... Boże... — szepce Terenia i zaczyna iść dalej.

Coś lka jej w piersiach, coś się tłucze bezsilnie, targa z bólu i żalu. Jakaś ogromna

rzeczna skarga, jakieś zwątpienie i lęk, przed światem. Nie widzi, że potokiem splywa z błękitów niebios słońce, że na kwietnikach śródmiejskiego ogródka kwitną szpalery róż, że klomby tak śmieją się kwiatami, że wokół gwar bez troski, radosny... ona tego nie widzi i nie czuje — wraca z pogrzebu.

Minęła teatr. Niesie ją szloch zamknięty w sobie, zdławiony, bezlitosny.

I znów widnieje przed nią szary, kamienny portal znanej świątyni i rozchylona kuta brama. Półmroczna głąb pociąga ją ku sobie i za chwilę wchłania ją w swoje, ulgę obiecujące, wnętrze.

Zbliża się wieczór. Terenia ucieka z miasta. Kilkogodzinne bezcelowe bląkanie się po ulicach i parku wyczerpało jej słabe siły. Boi się ludzi i ich spojrzeń. Dwukrotnie zaczęli ją, w parku, gdzie na ławce chciała odpocząć. Zdaje się jej, że ma na czole wypisaną, iż jest bezdomna i opuszczona. W oczach mężczyzn, w które spojrzała mimo woli, palił się jeden i ten sam ogień dziki i pożądliwy, zaczepny. Gdzie ten sam wzrok napastliwy, wyzywający, lub słowo przerażające w swym pieszczotliwym brzmieniu. Ktoś niby cień szedł krok w krok za nią, zachodził drogę, uchylał kapelusza, ofiarowywał towarzystwo, że musiała zawracać i ginąć w tłumie. Nie było miejsca, gdzie by mogła uchronić się przed zaczepką i choć chwilę odpocząć. A tak jej spokojny był konieczny, aby móc zebrać chore myśli, coś postanowić, szukać ratunku i schronienia. Zbliżająca się wolno noc nieznanego miasta napawała ją trwogą. Strach ten w każdym mężczyźnie kazał jej widzieć potwora w rodzaju Rozendufta i tych, co odwieczali jego lokal. Mnóstwo kobiet przypominało jej pannę Adę. Widzi, że to ogromne miasto jest złe, że czai się jak dziki zwierzę do skoku, że wciąż szuka ofiary. Ze w tym straszliwym, obcym tłumie nie znajdzie serca i pomocy, że tutaj litość nie ma dostępu. Ze tu każda ulica się zaciąga niby porwany pajak i coś okropne-

go czyha w cieniu zaułków. Nikt tu ręki nie poda, chyba wysunie ją znienacka, ażeby zepchnąć w przepaść. Tak to widzi Terenia i tak jej każe patrzeć mocno zboląła i zawiedziona dusza. Jej bojaźń do miasta wyolbrzymia się do piekielnych rozmiarów, a więc ucieka przed nim. Jest jeden człowiek, który jej został teraz, to ów staruszek ksiądz. Zatem u niego pragnie schron znaleźć. Poznała go jako uosobienie wprost anielskiej dobroci. Zrozumiał ją, pocieszył, przyrzekł pomoc w potrzebie. Pierwszym słowem zdobył jej zaufanie, że otworzyła przed nim serce jak przed najlepszym ojcem. Puka do jego drzwi. Słyszy łagodny głos od wnętrza. Wchodzi nieśmiało, ale pełna otuchy.

Wita ją dobrotliwy uśmiech staruszka, ale spochmurniał nagle, widząc smutek i bladość na obliczu dziewczęcia.

Terenia chwytła rękę kapłana i do ust ją przyciska. Równocześnie ksiądz odczuwa lzy na swej dloni.

— No, no, cichutko, proszę nie płakać... Usiądź, dziecko — podsuwa jej kozetkę i sam tuż obok siada. Coś widać źle, opowiadaj... Zastałaś tego pana?

Terenia tłumy płacz.

— Zastałam...

I rozpoczyna urywanymi słowami swą tragiczną opowieść. Mówi jak na spowiedzi. Powierza mu swój zawód, rozdarte serce i lęk przed idącą przyszłością. Do domu nie powróci za żadne skarby świata, musi iść w świat. A wielką trwogę przejmują ją ta myśl, świat taki wrogi, taki zły, tak ją przeraża jego obcość.

Nieutulone łkanie kończy opowieść.

— Nie płacz, nie płacz, Tereniu — prosi wzruszony ksiądz. — On nie wart twoich łez. To nieszlachetny człowiek, rozpustnik. Chociaż serduszek boli, lecz lepiej może, iż tak się stało... Byłabyś nieszczęśliwa... Bóg wie, co robi, doświadcza, uczy, zsyła nieszczęścia i krzyże, nieraz tak ciężkie i niepojęte, jakby nie jego wola je zsyłała... O

Kabaczki „zadomowiły się” u nas na dobre, a kalafiorzy mają na naszym rynku warzywnym mocną pozycję. W wielu przypadkach zastępują więc mięsne dania bez szczególnego uszczerbku dla zdrowia i podniebienia zwolenników „schabowego”. Mając zatem na uwadze konieczność sięgania po jarskie potrawy nawet przez „mięsożernych” tradycjonalistów, polecamy dziś Państwu farszerowane kabaczki i panierowany kotlet z kalafiorów.

* * *

Kabaczek nadziewany. 1 kabaczek (ok. 75 dag), 1 szklanka uduzonych z cebulą drobno posiekanych pieczarek, wymieszanych z ugotowanym na sypko rzędem mniej więcej w proporcji 1:1, 5 łyżek drobno posiekanej zielonej pietruszki, 1 szklanka przecieru pomidorowego, 1/2 szklanki śmietany, 1 łyżka masła, sól, cukier, pieprz, 2—3 łyżki posiekanego koperku, 1/4 szklanki wywaru z warzyw.

Kabaczek po dokładnym umyciu obrać ze skórki. Z owocu skroić jedynie nasadę szypułki i resztki dna kwiatowego. Przekroić wzdłuż na połowę, wydrążyć luźny miąższ z pestkami. Wymienione składniki (pieczarki, ryż, zieloną natkę) dokładnie wymieszać, po czym doprawić do smaku pieprzem i solą. Przygotowanym farszem wypełnić oczyszczone połówki kabaczka. Ułożyć przekrojem ku górze w dużym rondlu, podać gorącym rosółem lub wywarem z warzyw. Gotować pod przykryciem przez 30—40 minut. Następnie dodać przecier ze świeżych pomidorów i gotować jeszcze przez chwilę. (ok. 15 min.). Sos zaprawić śmietaną, dodać koperek i masło, ewentualnie sos zaciągnąć żółtkiem; przyprawić do smaku solą i cukrem. Podawać bezpośrednio po ugotowaniu jako samodzielnie potrawę na obiad lub kolację. Można podać także ziemniaki.



Kącik kulinarny

Kabaczki i kalafiorzy

Kabaczek nadziewany w sosie pietruszkowym. 1 kabaczek, 4 jaja, 1 1/2 łyżki masła, ok. 3/4 szklanki tartej bułki, sól, 1 szklanka rosółu lub wywaru z warzyw, 1 1/2—2 szklanki sosu pietruszkowego lub koperkowego.

Kabaczek lub dynię umyć i obrać ze skórki. Z owocu skroić resztki dna kwiatowego i nasadę szypułki. Wydrążyć miąższ z pestkami. Jaja umyć, oddzielić żółtka. Tartą bułkę przesiać przez sito. Masło utrzeć na tzw. śmietanie. Ucierając dodawać po 1 żółtku. Gdy masa będzie dostatecznie pulchna, dodać posiekaną pietruszkę — wymieszać. Z białek ubić sztywną pianę, dodać 1/2 łyżeczki soli, ciagle ubijając. Pianę połączyć z masą masłano-żółtkową, dodając jednocześnie tartą bułkę. Przygotowaną masę przyprawić do smaku solą. Połówki kabaczka napęlić nadzieniem,

ułożyć w dużym rondlu, podać rosółem lub wywarem. Ugotować do miękkości. Napęlioną nadzieniem dynię lub kabaczek owinać folią, ułożyć na brytfannie, przykryć, wstawić do nagrzanego piekarnika, upiec. Przed podaniem polać sosem pietruszkowym lub koperkowym. Podawać na gorąco na obiad lub kolację, na przykład z zieloną sałatą.

Kotlety z kalafiora. 200 g świeżych pieczarek, 2 łyżki masła, 1 cebula, szklanka rosółu, 50 g śmietany, duży kalafior, 400 g mąki, 2 jaja, tarta bułka, łyżka oliwy lub oleju, 150 g sera żółtego, cukier, sól.

Pieczarki dobrze umyć i oczyścić. W garnku stopić łyżkę masła, włożyć oczyszczone i umyte pieczarki i drobno posiekaną cebulę. Posolić, popieprzyć, dodać nieco cukru i podusić na wolnym ogniu. Po chwili zalać rosółem i dusić przez ok. 40 min. W czasie zdejmowania z ognia dodać śmietanę. Przygotować kalafior. Umyć, obciąć boczne liście, wyciąć głąb, oczyścić i podgotować w całości bez przykrycia w osolonej i lekko ocukrzonej wodzie z dodatkiem bułki. Kalafior po wyjęciu powinien być twardawy. Ostudzony kalafior kroimy w plastry grubości 2 cm. Wybijamy jaja na talerz i rozmącamy widelcem. Plastry kalafiora obtaczamy w mące, w jajku i bułce tartej, po czym smażymy w dużej ilości oliwy na złoty kolor i układamy na wysmarowanej masłem brytfannie. Na każdy „kotlecik” kładziemy plasterkę sera, aby kalafior był nim przykryty, a na wierzchu — po łyżce uduzonych grzybów. Całość obkładamy kawałeczkami masła i wstawiamy na 5 min. do bardzo gorącego piekarnika.

Podajemy z pieczywem lub ziemniakami oraz zieloną sałatą.

Oprac. EIDO